

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.



Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 10 września 1910. Nr. 37

Romantyczne porwanie.

(Treść na str. 2).

Romantyczne porwanie.

(Do illustracyi tytułowej).

Bardzo romantyczna historya, nie pozbawiona przytem pewnej tajemniczości, rozegrała się tymi dniami w Warszawie. Próbowano mianowicie dokonać porwania pewnej młodej, uroczo pięknej panienki, a plan zamachu na jej wolność nie powiódł się jedynie z powodu szczęśliwego zbiegu okoliczności.



Aneksya Korei: Generał-gubernator Korei, japoński minister M. Terauchi.

Owa panienka, której nazwiska pisma warszawskie nie podają, bawiła chwilowo u swych znajomych przy ul. Hortensyi. Za chwilę miała już opuścić mieszkanie znajomych i powrócić do domu, zebrała się więc i zaczęła się żegnać, gdy weszła służąca i w sekrecie zawiadomiła panienkę, iż w bramie czeka na nią jakiś pan, podobno znajomy, który chce koniecznie i to zaraz z nią się widzieć. Że na tem widzeniu zależy mu bardzo, dał dowód w ten sposób, iż służącej ofiarował rubla za poparcie jego prośby.

Zaintrygowana oryginalnem żądaniem nieznajomego „znajomego", zeszła panna X. w towarzystwie córki gospodarstwa do bramy, tam jednak nikogo nie było. Wyjrzała więc zaciekawiona na ulicę, ale i tam było pusto zupełnie, jedynie przy końcu ulicy widać było przechadzającego się mężczyznę. Twarzy jego z tej odległości nie podobna było rozpoznać, więc panienki, wobec tego, że zmierzch już zapadał, posunęły się naprzód, ku owemu tajemniczemu przechodniowi. Ten atoli posuwał się zwolna naprzód, coraz dalej od domu, z którego obie panienki wyszły, aż doszedł do rogu ul. Szpitalnej.

I kiedy panna X. była od niego w odległości zaledwie paru kroków, ów jegomość nagle się odwrócił, ujął niespodziewającą się nic złego panienkę w pół i przy pomocy starszej, ubogo odzianej kobiety, która wówczas wyskoczyła z stojącej obok dorożki, poniósł ją w stronę pojazdu. Przerażona panna zaczęła się rozpaczliwie bronić, wzywając w niebogłosy ratunku, a sekundowała jej dzielnie przyjaciółka, która nadto uchwyciła ją za rękę, usiłując wyrwać z objęć napastnika. To szamotanie trwało dłuższą chwilę i kto wie, jakiby był ostateczny wynik całej historyi, gdyby w ul. Szpitalnej nie pokazało się kilku przechodniów, co romantycznego bandytę spłoszyło i zmusiło do zaniechania dalszej walki. Wsiadłszy do dorożki wraz z swą towarzyszką, ulotnił się pospiesznie, a młode panny, ochłonąwszy z przerażenia, powróciły szczęśliwie do domu.

Krakowska młodzież rękodzielnicza w Niepołomicach.

Rocznicę wiekopomnego zwycięstwa grunwaldzkiego upamiętni na wieki kopiec w Niepołomicach pod Krakowem. Jak już w swoim czasie wspomnieliśmy w *Nowościach illustrowanych*, odbywają się każdej niedzieli tłumne wycieczki z Krakowa do Niepołomic, celem uczestniczenia w pracy nad usypaniem tego kopca, który też szybko rośnie i rośnie.



Krakowska młodzież rękodzielnicza w Niepołomicach: Członkowie polskiego związku katolickich uczniów rękodzielniczych na wycieczce w Niepołomicach.

W ubiegłą niedzielę udał się do Niepołomic statkiem poważny zastęp młodzieży rękodzielniczej krakowskiej, grupującej się w polskim związku katolickich uczniów rękodzielniczych. Przybywszy na miejsce, uczestnicy odśpiewali u stóp kopca pieśń „Boże coś Polskę", poczem ks. Kuznowicz, prezes związku, wygłosił do młodzieży podniosłe przemówienie, na temat, jakie znaczenie ma kopiec grunwaldzki dla nas i dla potomnych.

Zagrzani przemówieniem ks. Kuznowicza, rzucili się młodzieńcy raźno i ochotnie do taczek i z zapałem zwozili niemi ziemię. Praca młodzieży trwała przez cały czas ich pobytu w Niepołomicach, z krótką pauzą na skromny obiad. O zmierzchu wrócili uczestnicy wycieczki znowu Wisłą do Krakowa.



Krakowska młodzież rękodzielnicza w Niepołomicach: Uczestnicy wycieczki przy pracy około sypania kopca.

Cuda nowoczesnej techniki.

W miarę rozwoju techniki i rozszerzania się sieci kolei żelaznych, rozpowszechniły się w całym świecie i mosty, budowane z grubej żelaznej blachy, oparte na kamiennych filarach. Stosownie do sposobu urządzenia podpór, rozróżniamy mosty belkowe, łukowe i wiszące. Belkowe obciążają filary tylko w kierunku prostopadłym, a rusztowanie, dźwigające most, składa się z pasa górnego i dolnego, połączonych między sobą ścianami pełnemi lub złożonemi z krzyżujących się belek. Pierwsze z nich zowiemy rurowymi, drugie kratowymi. Mosty łukowe, wsparte na arkadach żelaznych, podobnie jak sklepienia, wywierają na podpory prócz ciśnienia pionowego i nacisk boczny, wiszące zaś opierają się na linach żelaznych, przeciągniętych od jednego brzegu do drugiego i podtrzymujących belki pokładu zapomocą sztab i prętów. Mosty wiszące są lżejsze aniżeli belkowe, zatem też tańsze i wytworniejsze, ale dla dróg żelaznych mniej przydatne. Liny dźwigające składają się bądź z łańcuchów, bądź z wiązek i skrętów drutów.

Wspaniałym okazem mostu kratowego, zbudowanego z kutego żelaza, jest nowy most nad zatoką Tay w Szkocyi. Ma on długości 3286 metrów i posiada 85 otworów od 15 do 74·7 m. rozpiętości. Most ten, należący do najdłuższych na świecie, powstał na miejscu dawnego, zburzonego w r. 1879 w grudniu przez gwałtowną burzę. Poprzedni był tego samego systemu, posiadał 89 otworów i 3250 metrów długości. Most ten, znajdujący się obok Dundee w Szkocyi, jest tem bardziej osobliwym, iż nie jest zupełnie prosty lecz zagina się półkole.

Aneksya Korei.

Na wschodnich krańcach Azyi rozegrał się niedawno ostatni akt wielkiego dramatu dziejowego, jako następstwo ważnych wypadków politycznych, a przedewszystkiem wojny rosyjsko-japońskiej. Cesarstwo koreańskie przestało istnieć, zostało zaanektowane przez Japonię i weszło w skład jej jako kolonia koronna. Naród koreański z własną indywidualnością, z własną tradycyą i kulturą utracił wskutek tego możność samodzielnego rozwoju politycznego, materyalnego i kulturalnego.

Przez aneksyę Korei Japonia rozszerzyła potężnie granice swego państwa, a w ten sposób osią-

gnęła cel usiłowań wieloletnich, usiłowań okupionych niejednokrotnie ofiarami w krwi i mieniu. Stała się wreszcie panią krainy, z której do niej przyszły początki kultury, a w której potem szukała pomieszczenia i pola pracy dla swojej ludności, nie mogącej się swobodnie rozwijać w ciasnych granicach paru wysp.



Po uroczystościach w Cetynii: Król czarnogórski Mikołaj I. z swą małżonką królową Mileną.



Odznaczenie dyrektora lwowskiego teatru: Dyrektor Ludwik Heller, odznaczony krzyżem kawalerskim orderu Franciszka Józefa.

Walka Japonii o Koreę rozpoczęła się przed 200 lat. Współzawodnictwo potężnych jednak wówczas Chin stawało zawsze na przeszkodzie zamiarom Japończyków, dzięki czemu Korea zachowała swą samodzielność.

Zwrot zasadniczy w sytuacyi politycznej na dalekim Wschodzie nastąpił wówczas dopiero, gdy Japonia, przyswoiwszy sobie formy i zdobycze kultury europejskiej, potężnie się rozwinęła, a gdy równocześnie Chiny, gnębione wewnętrznemi rozterkami i zamętem w Korei, poczęły chylić się ku upadkowi. I oto w r. 1876 Japonia pozyskała prawo współrządu z Chinami w Korei, a w 18 lat później w zwycięskiej wojnie z Chinami wywalczyła sobie możność bezpośredniego mięszania się do spraw wewnętrznych bezwładnej Korei. Zdawało się więc, że cel jest bliski i że go osięgnąć można bez dalszych ofiar. Tymczasem spotkała się Japonia, będąc już niemal u celu, z potęgą rosyjską. która posuwała się coraz dalej ku Oceanowi Spokojnemu i ku dzierżawom chińskim. I stało się to, co stać się musiało. Przyszło do konfliktu zbrojnego między dwoma temi mocarstwami, z których każde widziało w drugiem zaporę do dalszych zaborów, do ekspansyi i rozwoju. Konflikt zakończył się pomyślnie dla Japonii. Dzięki bezmiernej ofiarności i energii swych wojsk, odniosła zwycięstwo. A w ten sposób zdobyła sobie uznanie swych pretensyi do Korei, dla której samodzielności wybiła ostatnia godzina. Próba powstania nie powiodła się. Japończycy stłumili rewolucyę w sposób bezwzględny i objęli kraj w posiadanie.

Od tej chwili rozpoczęła się samowolna gospodarka Japonii w Korei. Zdetronizowano cesarza, a na jego miejsce osadzili Japończycy nowego monarchę, który był maryonetką w ręku rządu japońskiego, zaprowadzano w kraju porządki, które odpowiadały zamiarom i potrzebom Japonii, obsadzano ważniejsze stanowiska wyłącznie zwolennikami zwycięskiego państwa albo wprost Japończykami. Nominalnie atoli państwo koreańskie istniało dalej jako odrębna jednostka polityczna. Dopiero obecnie wykreślono Koreę z rzędu państw samodzielnych, dopiero obecnie nastąpiło zupełne jej wcielenie do Japonii. Rosya mianowicie, zaniepokojona rozwojem stosunków na wschodzie azyatyckim, pragnąca dalej swobody w działaniu w Europie, zgodziła się w zamian za oświadczenie pokojowe Japonii, na zniweczenie państwa koreańskiego.

Akt włączenia Korei do Japonii stał się istną farsą, bo nastąpił na mocy „przyjacielskiej" umowy między obu dynastyami. Cesarz koreański odstąpił wedle tej umowy „dobrowolnie" swoje prawa monarsze nad Koreą po wszystkie czasy i bez zastrzeżeń cesarzowi japońskiemu. Więc wszystko w porządku, zwłaszcza że rząd japoński zapewnia uroczyście Koreańczyków, iż aneksya będzie dla nich prawdziwem „dobrodziejstwem".

Imieniem zaborczego rządu władzę nad Koreą sprawować będzie generał gubernator M. Terauchi, minister japoński, człowiek w sile wieku, wysokich zdolności dyplomatycznych, znany powszechnie z energii.

Koreańczycy, jak dotąd, przyjęli zmianę w swem położeniu i utratę niezawisłości politycznej zupełnie biernie. Wobec zresztą przygniatającej przewagi po stronie Japonii, byłoby z ich strony lekkomyślnością wprost karygodną porywanie się do beznadziejnej walki. Być może, że po stronie ich byłyby sympatye tych zwłaszcza narodów, które utraciły w podobnych warunkach niezawisłość, ale takie sympatye platoniczne nie na wieleby im się przydały. Na jakąkolwiek zaś pomoc ze strony państw i mocarstw



Wystawa bydła pod Lwowem: Włościanie z okolic Lwowa, zebrani na wystawie bydła w Siemianówce. Za stołem komisya z łona tow. gospodarskiego.



Po uroczystościach w Cetynii: Wzruszająca scena powitania przez króla weteranów z wojny 1860 r.

liczćyby nie mogli, o czem się zresztą najlepiej przekonali przed paru laty, gdy próbowali stawić opór mięszaniu się Japończyków do swych wewnętrznych spraw.

Zwycięstwo polskiej stajni.

Wyścigi konne w Baden-Baden należą do najbardziej interesujących, ściągają też każdego roku tłumy wytwornej publiczności, zamiłowanej w tym pięknym sporcie. Wysokie nagrody, jakie przeznaczone są dla zwycięsców, zachęcają właścicieli najlepszych koni na kontynencie do udziału w tych wyścigach. Mają też one charakter prawdziwie międzynarodowy.

I w tym roku, w sześciodniowym meetingu, brały udział konie ze stajni niemieckich, francuskich, austryackich, węgierskich, a nadto uczestniczyła w nich słynna stajnia ks. Władysława Lubomirskiego z Kruszyny w Królestwie polskiem. A uczestniczyła z powodzeniem, gdyż koń tej stajni, „Książę Pan“, pobił szereg koni niemieckich i francuskich w biegu o główną nagrodę Badenu i przybył lekko pierwszy do mety.

Zwycięstwo konia polskiego właściciela nie podoba się oczywiście Niemcom, to też chcą oni koniecznie z księcia Lubomirskiego zrobić Rosyanina.

Powtarza się historya, której byliśmy niedawno świadkami po zwycięstwie „Intryganta“ ks. Lubomirskiego w „Derby“ wiedeńskiem.

Co do wyścigów zaś tegorocznych w Baden-Baden, to wogóle stajnie niemieckie nie popisały się wcale, gdyż wszystkie prawie lepsze nagrody brały konie obce, zwłaszcza francuskie. Stało się tak, jak i w innych latach, gdy tylko stajnie właścicieli francuskich posłały na tor w Baden-Baden dobre konie, lub gdy niemieckie stajnie nie miały wyjątkowo doskonałych koni.

Biadając nad tym smutnym wynikiem wyścigów, pocieszają się Niemcy bodaj tą okolicznością, że konie z niemieckich stajen trzymały się bardzo dzielnie w biegach z przeszkodami, nie tracą też nadziei, że w przyszłych latach zdołają te porażki powetować.

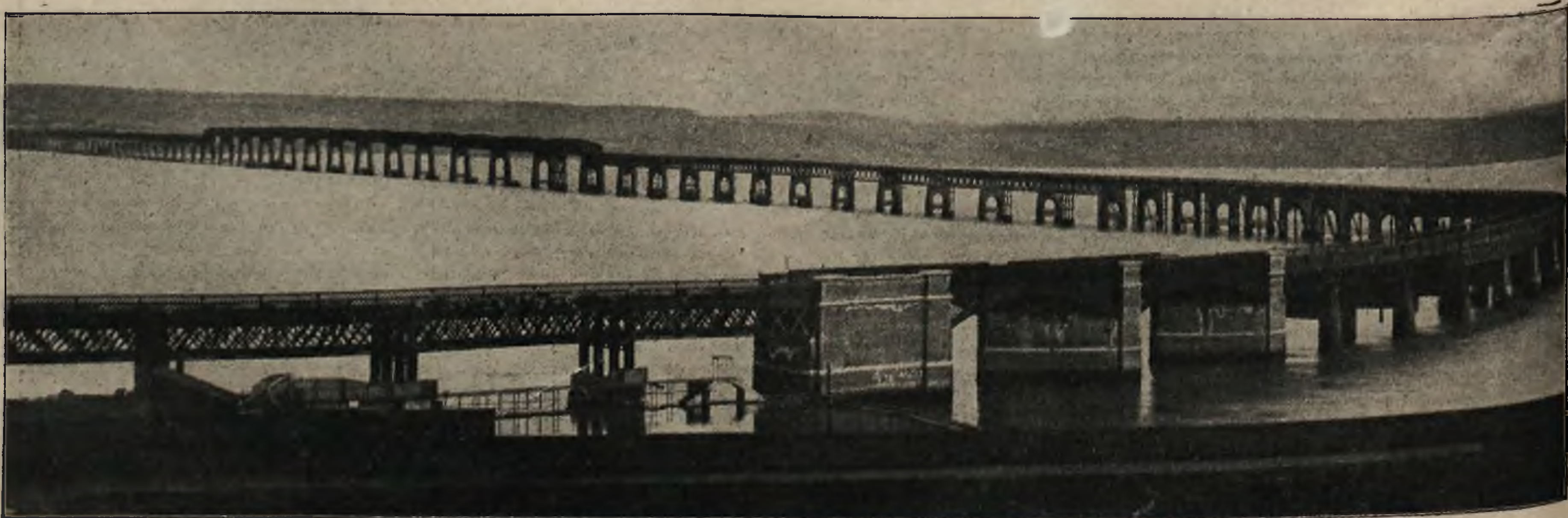


Zwycięstwo polskiej stajni: „Książę Pan“, ze stadniny ks. Wł. Lubomirskiego, zwycięsca w biegu o wielką nagrodę Badenu w Baden-Baden.

Przy sposobności wzmianki o zwycięstwie „Księcia Pana“ ze stadniny Kruszyńskiej, dodać należy, że stadnina ta poniosła niedawno dotkliwe straty, wskutek mianowicie pożaru w jednym z folwarków ks. Lubomirskiego obok Kruszyny, spłonęła stajnia, a z nią kilkadziesiąt koni, w tem kilka dobrych wyścigowców.



Rozbiór Marokka: Grono Europejczyków i wybitnych Marokkańczyków w ogrodzie szpitala francuskiego w Marokku.



Cuda nowoczesnej techniki: Najdłuższy most kolejowy w Europie, nad zatoką Tay w Szkocyi.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

16 (Ciąg dalszy).

Przeszedł wzdłuż łączki przed szkołą (dziewczynki właśnie uczyły się w klasie) i zapukał do drzwi wschodowych.

— To ty? co to znaczy? — wykrzyknęła, otwierając pani Ernemont. — A więc zostawiłeś Genowefę w Paryżu?

— Jakto? Nic nie rozumiem! — odpowiedział zdziwiony.

— Przecież wezwałeś ją do Paryża!

— Ja?! Co ty mówisz? — chwycił ją za ramię.

— Pisałeś do Genowefy, że oczekiwać jej będziesz na dworcu Lyońskim!

— I ona pojechała?

— Ależ naturalnie. Mieliście zjeść razem śniadanie w hotelu Sitz...

— Ten list... pokaż mi ten list!

Wzięła list z biurka i podała mu go.

— Ależ nieszczęsna kobieto, czyś ty nie widziała, że to fałszerstwo? Pismo dobrze naśladowane, ale to oczywiste fałszerstwo...

Z wściekłością przycisnął pięści do czoła.

— Otóż to ten cios, którego oczekiwałem. Ach, ten nędznik!... Przez nią on mnie zaczepia! Ale skąd on wie? Ależ nie... on nic nie wie... Ot już drugi raz próbuje tej sztuki... ale chodzi mu o Genowefę, bo on się w niej rozmiłował... Ale co to, to nigdy, przenigdy!... Wiktoryo, słuchaj!... Ach, tracę głowę... Tak, tak, muszę się zastanowić...

Spojrzał na zegarek.

— Za pięć wpół do drugiej... Mam czas... Ha! cóż mogę zrobić, skoro nie wiem, gdzie ona?

Chodził tam i napowrót, jak oszalały, a stara jego niańka nie mogła wyść z podziwu, widząc, że taki wzburzony, że tak traci panowanie nad sobą.

Wtem przyszła mu do głowy myśl nagła. A może baron Altenheim znajduje się w willi „pod Glicyniami“? Może zmienili godzinę spotkania?

— Muszę go widzieć — mówił sobie. Muszę, muszę, za wszelką cenę muszę!

I pobiegł wzburzony, gestykulując, niebaczny na wszystko. Jednakże przed lożą portyera opamiętał się i odzyskał spokój i zimną krew. Spostrzegł w ogrodzie pana Webera, rozmawiającego z braćmi Dondeville.

Gdyby go nie była opuściła zwykła przenikliwość, byłby zauważył, że pan Weber zadrżał za jego nadejściem. Dziś jednak on tego nie widział.

— Mam zaszczyt mówić z panem Weberem, nieprawdaż?

— Tak jest. A ja z kim mam honor?...

— Książę Sernin.

— Ach! właśnie pan prefekt powiadomił mnie o ważnej przysłudze, którą nam książę oddaje!

— Ta przysługa dopiero wtedy będzie czemś rzeczywistem, gdy wydam w ręce pańskie obu bandytów.

— To się niebawem stanie. Zdaje mi się, że jeden z tych bandytów właśnie wszedł... Taki tęgi mężczyzna w monoklu...

— W istocie, to baron Altenheim. Czy ludzie pańscy są tu, panie Weber?

— Tak, są ukryci na drodze, o dwieście kroków stąd.

— Otóż panie Weber, mnie się zdaje, że mógłby ich pan tu sprowadzić, przed tę lożę. Stąd pójdziemy do willi. Ja zadzwonię. Ponieważ baron Altenheim mnie zna, myślę, że mi otworzą. Wejdę... a za mną...

— Swietny plan — odpowiedział pan Weber. — Ja zaraz wracam.

Wyszedł z ogrodu i oddalił się w kierunku drogi.

Sernin spiesznie pochwycił za ramię jednego z braci Dondeville.

— Biegnij za nim, Jakóbie... Zajmij go... tyle tylko, bym ja mógł wejść do willi „pod Glicyniami“... A potem staraj się opóźnić atak... o ile możesz... pod jakimbądź pozorem. Potrzeba mi dziesięciu minut czasu... Niech otoczą willę... Ale niech tam nie wchodzą. A ty, Janie, stań przed pawilonem Hortensyi u końca korytarza. Gdyby baron chciał ujść tamtędy, rozbij mu głowę!

Bracia Dondeville oddalili się, a książę Sernin pośpieszył ku wysokiej bramie z kutego żelaza, a stanowiącej wejście pod „Glicynie“.

Czy zadzwonić?...

W pobliżu nie było nikogo. Jednym skokiem wydostał się na kratę, oparł nogę o klamkę, przesadził pręty żelazne i skoczył.

Przeszedł szybko brukowany podworzec i wszedł po stopniach do przedsionka, na który wychodziły okna, szczelnie okienicami zamknięte.

Podczas gdy się namyślał, jakby się dostać do środka, z wielkim zgrzytem żelaza uchylono drzwi i baron Altenheim ukazał się w nich.

— Cóż to, mości książę, w ten sposób wchodzisz do mieszkań ludzkich? Będę się musiał, mój drogi, uciec do żandarmów!

Sernin chwycił go za gardło.

— Genowefa... Gdzie Genowefa? Jeżeli mi nie powiesz, coś z nią zrobił, nędzniku jeden...

— Zwracam ci uwagę — wyksztusił baron — że pozbawiasz mnie możności mówienia...

Sernin puścił go.

— Dalejże!... żywo!... odpowiadaj!... Gdzie Genowefa?

— Najważniejsze dla takich, jak my — odpowiedział baron — to, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

I starannie zamknął drzwi i pozasuwał rygle. Następnie, zaprowadziwszy Sernina do pobliskiego salonu, salonu pustego, pozbawionego mebli i firanek, zwrócił się do niego i rzekł:

— A teraz jestem na twoje usługi. Czemże ci mogę służyć, mości książę?

— Pytam o Genowefę?

— Zdrowa i cała. Nic jej nie brakuje.

— Ach! Przyznajesz więc! Gdzież ona jest?

— W czterech ścianach, wolna zresztą.

— Jakto? Wolna?

— Tak, wolna, bo wolno jej chodzić od ściany do ściany.

— Zapewne w willi Dupont, tam, gdzie schowałeś Steinwega?

— Ach, ty wiesz, że on tam?... Nie, jej tam niema.

— Więc gdzież nareszcie? Mow, bo inaczej...

— Zastanów się, mości książę! Czyż myślisz, że ja taki głupi, że wyśpiewam ci sekret, zapomocą którego ja ciebie trzymam? Kochasz tę małą...

— Milcz! — krzyknął Sernin, tracąc cierpliwość. Żebyś mi się nie poważył...

— Co znowu? Czyż to cię hańbi? Ja sam w niej się kocham i odważyłem się...

Nie dokończył, onieśmielony strasznym gniewem Sernina, gniewem hamowanym i milczącym, który twarz jego wykrzywiał.

Popatrzyli na siebie w milczeniu, jak dwaj wrogowie, z których każdy szuka słabej strony przeciwnika. Nareszcie Sernin przystąpił o krok bliżej i głosem wyraźnym, głosem grożącym raczej, niż ofiarującym porozumienie, przemówił:

— Posłuchaj. Czy przypominasz sobie, że uczyniłeś mi propozycyę przystąpienia z tobą do spółki? Sprawa Kesselbacha na spółkę... podział pracy... podział zysków... Odmówiłem wtedy. Dzisiaj przyjmuję.

— Za późno.

— Poczekaj. Jeszcze lepiej: ja wycofam się z tej sprawy... do niczego mieszać się nie będę... tobie wszystko pozostawię... W razie potrzeby pomogę...

— Pod jakimi warunkami?

— Powiedz mi, gdzie się znajduje Genowefa?

Tamten wzruszył ramionami.

— Bredzisz, Lupinie. Przykro mi... w twoim wieku...

Nastąpiła znowu chwila groźnego milczenia.

Baron roześmiał się szyderczo.

— A jednakże to dyabelnie miło słyszeć, jak ty płaczliwie o jałmużnę prosisz!

— Głupcze — szepnął Sernin.

— Książę, ja tobie przyślę moich świadków dziś wieczór, jeśli notabene jeszcze będziesz przy życiu!

— Głupcze! — powtórzył Sernin z niewypowiedzianą wzgardą.

— Wolisz skończyć odrazu? Wolna wola, mój książę. Poleć duszę twoją Bogu. Uśmiechasz się? Dałbyś pokój. Mam nad tobą olbrzymią przewagę; potrafię zabić... w razie potrzeby...

— Głupcze! — powtórzył Sernin raz jeszcze.

Spojrzał na zegarek.

— Druga godzina, baronie. Masz już tylko kilka minut czasu. Za pięć, za dziesięć minut najdalej, Weber z półtuzinem tęgich, nieprzebierających w środkach ludzi włamią się do twojej nory i wezmą cię za kołnierz... I ty się nie uśmiechaj, radzę ci to. Ujście, na które rachujesz, jest odkryte i strzeżone. Ja je znam. Jesteś więc złapany, ni mniej ni więcej, tylko złapany... A to pachnie szafotem, mój miły!...

Altenheim posiniał.

— Ty to zrobiłeś? — bąkał. — Ty posunąłeś się do takiej podłości?

— Dom jest otoczony w koło. Wtargnięcie zaraz nastąpi. Mów — a ja cię ocalę.

— Jakim sposobem?

— Ludzie, którzy strzegą ujścia korytarza, to są moi ludzie. Dam ci dla nich hasło i będziesz ocalony. Mów!

Altenheim namyślał się chwilę, zawahał się nawet.

— Nie — odrzekł nagle z decyzyą. — To wszystko blaga. Nie byłbyś taki naiwny, żeby sam iść w paszczę wilka!

— Zapominasz o Genowefie. Gdyby nie ona, czy myślisz, że ja bym tu był? Mów więc!

— Nie chcę.

— Dobrze, zaczekajmy — rzekł Sernin, tłumiąc niecierpliwość. Wyciągnął papierośnicę i zapalił.

II.

— Czy słyszysz? — zapytał po krótkiej chwili.

— A jakże... a jakże... — odpowiedział Altenheim, wstając.

Słychać było uderzenia w bramę.

— Ty wiesz, że z temi narzędziami, jakiemi rozporządzają, długo to nie potrwa...

— Choćby już tu byli w tym pokoju, jeszczebym ci nie ustąpił.

Krata puściła. Zgrzytnęły zawiasy.

— Wpaść w pułapkę, to jeszcze rozumiem, ale dobrowolnie wyciągać ręce po kajdanki, to już poprostu idyotyzm. No dalej, nie upieraj się. Mów — i umykaj.

— A ty?

— Ja tu zostaję. Czegóż się ja mam obawiać?

— Spojrz tylko.

Baron wskazał na szparę w okiennicy. Sernin spojrzał i odskoczył, drgnąwszy.

— Ach, bandyto! I tyś mnie także zadenuncyował! To nie dziesięciu ludzi, to pięćdziesięciu, stu, dwustu Weber sprowadził!

Baron śmiał się szerokim śmiechem.

— A jeżeli jest ich tylu, to oczywiście chodzi o Lupina? Pół tuzina wystarczyłoby dla mnie!

— Uprzedziłeś policyę?

— Uprzedziłem, rozumie się.

— Jaki im dałeś dowód!

— Twoje imię... Paul Sernine — czyli Arsène Lupin.

— I ty to sam odkryłeś, ty?... to, o czem nikt nie pomyślał? Ejże! To tamten, sam przyznaj!

Spojrzał znów przez szparę. Tłumy ajentów snuły się dokoła willi i teraz już do drzwi szturmowano.

Trzeba jednak było pomyśleć albo o ucieczce, albo o spełnieniu planu, który sobie nakreślił. Jednakże oddalić się, choćby na chwilę, to znaczyło zostawić samym Altenheima, a któż mógł zapewnić, że baron nie rozporządza innem jakiem ujściem i że nie ucieczce? Ta myśl do rozpaczy doprowadzała Sernina. Baron na swobodzie! Baron, mogący wrócić do Genowefy i dręczyć ją i niewolić swoją wstrętną miłością!

Zaszachowany w swych projektach, zmuszony obmyśleć naprędce nowy jakiś plan, podporządkowując wszystko inne względom bezpieczeństwa Genowefy, Sernin przeżywał teraz chwilę strasznego wahania. Z oczyma utkwionemi w oczach barona, pragnął wyrwać mu tajemnicę i pójść i już go nawet nie przekonywał, tak daremnemi zdawały się tu słowa. I tylko starał się odgadnąć, na co liczy baron? jaką posiada broń? i jakie szanse ocalenia?

Drzwi od przedsionka, choć mocno zaryglowane, choć okute żelazem, zaczynały ustępować.

Obaj, nieruchomi, stali przed temi drzwiami. Dochodziła ich wrzawa głosów, dochodziły pojedyncze wyrazy.

— Zdajesz się być bardzo siebie pewien — zauważył Sernin.

— Dlaczegoby nie? — krzyknął tamten i kopnięciem w nogi przewróciwszy Sernina, zaczął uciekać.

Sernin powstał natychmiast, otworzył pod głównymi schodami małe drzwiczki, przez które wymknął się Altenheim i zeskakując po kamiennych schodkach, zbiegł do suteryn.

Korytarz... izba obszerna i niska, prawie ciemna... tam baron klęczał, podnosząc klapę przejścia.

— Idyoto! — krzyknął Sernin, rzucając się na niego — wiesz przecież, że znajdziemy moich ludzi na końcu tego przejścia i że oni mają rozkaz zabić cię, jak psa!... Chyba, że... chyba, że ty masz inne wyjście, które się z tem łączy... Ej, jak widzę, odgadłem... i ty sobie wyobrażasz...

Walka była zacięta. Altenheim, prawdziwy siłacz o muskulaturze wyjątkowej, otoczył przeciwnika ramionami i usiłował go zdusić.

Sernin rozumiał wyższość przeciwnika, o ile nie

wyzwoli rąk swoich, którymi z taką sztuką umiał władać.

Nagle dreszcz po nim przebiegł. Klapa, która zapadła i na drzwiczkach której ciężarem swym spoczywali, klapa zdawało się, że drgnęła. Czuł wysiłki czyjeś, żeby ją podważyć, i baron również musiał to poczuć, gdyż rozpaczliwie starał się przesunąć teren walki, tak ażeby klapa dźwignąć się mogła.

— To tamten! — myślał Sernin z rodzajem niewyrozumowanego lęku, jakim go ta tajemnicza istota napełniała. — To tamten... Jeżeli on tu wejdzie, zginąłem...

Nieznacznymi ruchami Altenheim zdołał się usunąć i starał się przeciwnika pociągnąć ku sobie. Ale Sernin czepiał się nogami nóg barona, starając się równocześnie wyzwolić choć jedną rękę.

Ponad nimi grzmiały silne uderzenia...

— Mam pięć minut czasu — pomyślał Sernin.— Za minutę musi ten łotr...

Głośno zaś dodał:

— Baczność, mój mały! Trzymaj się dobrze!

Scisnął oba kolana z nieopisaną siłą i parł nimi barona. Baron ryknął. Udo miał zgniecione.

Wtedy Sernin, korzystając z bólu przeciwnika, wysiłkiem uwolnił prawą rękę i chwycił go za gardło.

— Doskonale! Teraz nam będzie wygodniej!... Nie, daj pokój! nie sięgaj po twój nóż... bo zaduszę cię, jak kuraka!... Widzisz, jaki jestem grzeczny... zanadto silnie nie ściskam... tyle tylko, żeby ci odebrać ochotę do śmiechu...

Mówiąc, równocześnie dobył z kieszeni cieniuchny sznurek i jedną ręką, nader zręcznie, związał mu obie ręce. Ledwie dyszący zresztą baron prawie się już nie bronił. Kilkoma umiejętnymi ruchami Sernin skrępował go.

— Jakiś ty grzeczny! Nie poznaję cię wcale! O, widzisz, na wypadek, gdyby ci się zachciało uciekać, oto jest motek stalowych nici, który uzupełni moje dzieło... Najpierw rączki... a teraz nóżki w kostkach... Tak... Boże! jakiś ty grzeczny!

Baron zwolna przychodził do siebie. Wybełkotał:

— Jeśli mnie wydasz, Genowefa umrze.

— Doprawdy?... Jakto?... Wytłómacz mi to!

— Zamknięta jest. Nikt nie wie, gdzie ją ukryłem. Gdy mnie nie będzie, ona umrze z głodu... i Steinweg również...

Sernin zadrżał.

— Tak, ale ty przemówisz.

— Nigdy!

— Owszem, przemówisz. Już nie teraz, bo nie pora, ale tej nocy.

Nachylił się nad nim i cicho szeptał mu do ucha:

— Słuchaj Altenheim, i chciej mnie dobrze zrozumieć. Za chwilę ciebie wezmą. Nocować będziesz w więzieniu. To jest nieodwołalna konieczność. Ja sam nic tu już zmienić nie mogę. A potem... ty wiesz, co ciebie czeka?... Otóż ja tobie dam jeszcze jedną szansę ocalenia. Tej nocy — słyszysz? — tej nocy zakradnę się do twojej celi i ty mi powiesz, gdzie jest Genowefa. W dwie godziny później, o ile nie skłamiesz, będziesz na swobodzie. Jeżeli nie... no, to widocznie nie dbasz o swoją głowę.

Baron nie odpowiadał. Sernin wstał i zaczął słuchać. W górze nad nimi huk i łoskot. Drzwi wchodowe ustępowały. Kroki stukały po przedpokoju i po posadzce salonu. To Weber i ludzie jego szukali.

— Do widzenia, baronie, namyśl się do wieczora. Celka więzienna, to dobra doradczyni!

Posunął więźnia swego i podniósł klapę. Tak, jak przewidywał, już tam pod spodem, na schodkach, nie było nikogo.

Zeszedł, pozostawiając za sobą klapę otwartą, jak gdyby miał zamiar wrócić.

Schodki liczyły dwadzieścia stopni, a poniżej zaczynał się korytarz, przez który pan Lenormand z Gourel'em przeszli od przeciwnego końca.

Puścił się tym korytarzem i nagle krzyknął. Zdawało mu się, że czuje czyjąś obecność.

Zapalił latarkę kieszonkową. Korytarz był pusty. Wtedy nabił rewolwer i głośno przemówił:

— Strzeż się, bo ja strzelam...

Nikt nie odpowiedział. Nic się nie odezwało.

— Wydawało mi się — pomyślał. — Ale teraz raźno! śpieszyć się trzeba!... Dziura, w którą wsunąłem pakiet z ubraniem, jest niedaleko. Zabieram pakiet... i urządzam sztuczkę. I jaką sztuczkę! jedną z moich najlepszych!...

Doszedł do drzwi otwartych i zatrzymał się. Na prawo było zagłębienie, dziura, którą wykopał pan Lenormand, uciekając przed napływającą wodą.

Nachylił się i latarką oświecił otwór.

— Ach, to niemożebne! — zadrżał. — To pewnie Dondeville posunął pakiet dalej!

Ale daremnie szukał w ciemnościach. Pakietu nie było i Sernin już ani wątpił, że to owa tajemnicza istota go zabrała.

— Jaka szkoda! rzecz tak ładnie była ułożona! przygoda rozwinęłaby się naturalnie, a ja najbezpieczniejszą drogą doszedłbym do celu... Teraz zaś trzeba szybko umykać. Dondeville czeka na tamtym końcu... odwrót mam zapewniony... Teraz już bez żartów... trzeba się spieszyć... A później zajmę się



Wtedy Sernin chwycił go za gardło.

nim... Ach, niech się strzeże moich szponów ten tam...

Nagle jednak wydał okrzyk zdumienia. Doszedł do drugich drzwi, już bliskich pawilonu, ale i te były zamknięte.

Rzucił się na nie, chciał je wyłamać. Napróżno. Cóż mógł uczynić?

— Tym razem — szepnął — wpadłem, niema rady!

I usiadł w poczuciu nagłego znużenia. Miał wrażenie, że słabym jest i bezsilnym wobec owej tajemniczej istoty. Altenheim się nie liczył. Ale tamten, ten duch ciemnicy i milczenia, tamten górował nad nim, tamten obalał wszelkie jego kombinacye i pozbawiał go sił chytrością piekielnych swoich napaści.

Czuł się zwyciężonym. Dawał za wygraną.

Weber go tu znajdzie, jak zwierza, osaczonego w jaskini.

III.

— Ach nie! nie! — zerwał się nagle. — Gdyby to tylko o mnie chodziło... ale Genowefa! Ją trzeba ratować tej nocy jeszcze... Ostatecznie nie wszystko jeszcze stracone. Jeżeli tamten gdzieś zniknął, musi tu gdzieś być jakieś inne wyjście. No, no, jeszcze mnie Weber nie trzyma w garści!

I jął oglądać tunel i wznosząc latarkę do góry, badać cegły, z których zbudowano ściany — gdy nagle doszedł go krzyk, straszny, okropny krzyk, który dreszczem lęku nim wstrząsnął.

Krzyk ten dochodził od strony klapy.

Tu nagle przypomniał sobie, że klapę tę pozostawił otwartą, wtedy, gdy miał zamiar tamtędy wracać do willi „pod Glicyniami“.

Zawrócił śpiesznie, minął pierwsze drzwi. — W ciemności, ponieważ zagasła mu latarka, poczuł, że coś, raczej, że ktoś otarł mu się o kolana, że ktoś przekrada się wzdłuż ściany. I zaraz też odniósł wrażenie, że ten „ktoś“ znika, podziewa się gdzieś... nie wiedział którędy.

W tejże chwili potrącił o stopień.

— To tam jest wyjście — pomyślał — to drugie wyjście, przez które „tamten“ uchodzi.

Powyżej krzyk odezwał się znowu, ale mniej silny, a za nim jęki i chrapliwe rzężenie.

Wbiegł szybko po schodach, wszedł do niskiej izby i rzucił się ku baronowi.

Altenheim, z okrwawioną szyją dogorywał. Więzy jego były przecięte, ale nietknięte były stalowe nici, któremi ręce jego i nogi w kostkach skrępował. Nie mogąc go uwolnić, towarzysz zadał mu śmierć.

. . . .

Sernin z przerażeniem patrzył na ten widok. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Myślał o Genowefie uwięzionej, której nikt na pomoc nie przyjdzie, która musi zginąć najokropniejszą śmiercią, gdyż baron jeden tylko wiedział o jej kryjówce.

Wyraźnie teraz słyszał, że ajenci otwierają małe boczne drzwi w przedpokoju. Wyraźnie słyszał ich kroki na schodach do suteren.

Teraz dzieliły go od nich już tylko jedyne drzwi, drzwi niskiej izby, w której się znajdował. Zaryglował te drzwi w chwili, gdy już szturmujący chwytali za klamkę.

Klapa obok niego była otwarta... Tędy ratunek był możebny, ponieważ istniało jeszcze drugie wyjście.

— Nie — pomyślał — Genowefa najpierw. Potem, jeśli zdążę, pomyślę o sobie.

I klęknąwszy, położył rękę na piersiach barona.

Serce jeszcze biło. Nachylił się niżej.

— Słyszysz mnie? Mów!

Powieki słabo drgnęły.

Iskra życia jeszcze tliła w umierającym. Czy uda się z niego co wydobyć?

Do drzwi ostatniej przegrody, zaczynali szturmownć ajenci.

Sernin szepnął:

— Ja ciebie ocalę... ja mam niezawodne lekarstwo... Tylko jedno słowo... Gdzie Genowefa?

Zdawałoby się, że te słowa nadziei, dodawały siły. Altenheim starał się przemówić.

— Odpowiedz, odpowiedz — powtarzał Sernin — a ja ciebie ocalę... i życie i wolność ci wrócę.. odpowiedz!

Drzwi drżały pod ciosami.

Baron starał się wybełkotać jakieś niezrozumiałe sylaby. Nachylony nad nim, przerażony, całą wolę swą i energię prężąc, Sernin dyszał niepokojem. Ajenci, niechybne uwięzienie — o tem nawet nie myślał... ale Genowefa... Genowefa, umierająca z głodu, a którą jedno słowo tego nędznika mogło ocalić!...

— Odpowiedz! Musisz odpowiedzieć!

Nakazywał. Błagał. Altenheim, jak zahypnotyzowany potęgą przemożną, wyjąkał:

— Ri... Rivoli...

— Ulica Rivoli? tak? zamknąłeś ją w domu przy ulicy Rivoli, nieprawdaż? Pod jakim numerem?

Wrzawa, okrzyki tryumfu... drzwi wysadzone.

A Sernin na kolanach, powtarzał:

— Mów, który numer? Jeżeli ją kochasz, odpowiedz! Dlaczego miałbyś milczeć teraz?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po uroczystościach w Cetynii.

Wielkie uroczystości jubileuszowe maleńkiego, a najmłodszego europejskiego królestwa już się ukończyły. Czarnogóra zeszła już z porządku dziennego i wróciła do dawnego spokojnego życia.

Wogóle, jak na tamtejsze stosunki, przyjęcie obcych gości było nader wspaniałe, w uroczystości wziął udział nietylko dwór królewski, ale i najszersze warstwy ludności, której nadzwyczaj pochlebia, że rządzić ma król, a nie książę. Dysonansu w czasie obchodu nie było, żadnego, nie można bowiem przywiązywać żadnej wagi do wrogiego wystąpienia szowinistów belgradzkich, którzy nie mogąc się już gniewać na Austryę, zwrócili swe afekty w stronę Czarnogóry. Rzekomo zaprzepaściła ona nadzieję spełnienia się kiedyś idei wielkoserbskiej, naturalnie pod berłem Karageorgiewiczów.

Z pomiędzy głów koronowanych najuroczyściej przyjmowano następcę tronu serbskiego, księcia Aleksandra, który podobno ma ochotę wstąpić w związki małżeńskie, a przyszłą towarzyszkę życia upatrzono dlań na cetyńskim dworze. Na jego cześć odbyła się nieodzowna w takim wypadku parada wojskowa i oficyalny obiad, w którym wzięli udział wszyscy goście króla Mikołaja i ciało dyplomatyczne.

I królestwo włoscy, należący do najbliższej rodziny jubilata, przyjmowani byli z należytym szacunkiem; królowa Helena cieszy się dotąd ogólną sympatyą czarnogórskiej ludności, dumnej z tego, że córka ich władcy zasiada na tronie włoskim. Odwzajemnia i ona te uczucia, a najwymowniejszym ich znakiem podarunek, jaki złożyła swym rodzicom w dniu jubileuszu. Korzystać zeń będzie cała ludność i w długie lata błogosławić pamięć dobroczynnej królowej. Ufundowała ona mianowicie szpital dla dzieci i klinikę chirurgiczną, a położenie kamienia węgielnego pod obie te humanitarne instytucye, których w Czarnogórze taki brak uczuć się dawał, było jednym z głównych punktów jubileuszowego obchodu.

Otwarto także w Cetynii wystawę włoską, z której na razie gotowy jest tylko dział artystyczny. W uroczystości otwarcia wziął udział król Mikołaj z królową i następca tronu wraz z żoną. Wieczorem tego dnia odbył się obiad dworski dla dyplomatów, a gmina cetyńska urządziła wielki bankiet dla bawiących tam gości i przedstawicieli prasy zagranicznej. Po mowie powitalnej burmistrza i przemowie dra Polita, serba z Węgier, odbył się w pałacu rządowym bal, w którym wzięło udział około tysiąca osób. Przybyła także para królewska wraz z całą rodziną.

W czasie uroczystości jubileuszowych wyróżniano ostentacyjnie austryackiego posła barona Gisala. Po rewii wojskowej zaprosił król Mikołaj do swego pałacu, kilku dyplomatów, między nimi i jego i wzniósł toast na cześć cesarza Franciszka Józefa, wyrażając w ten sposób wdzięczność za okazaną dlań przez cesarza życzliwość. Między Cetynią, a dworem cesarskim w Ischlu wymieniono też z okazyi uroczystości jubileuszowych depesze nader serdeczne, a król Mikołaj kilkakrotnie wspominał, jaką radością przejmuje go przyjacielski stosunek między nim, a cesarzem austryackim.

Dziś spokojnie już w Cetynii i cicho, goście rozjechali się w różne strony, rozwożąc w świat miłe wspomnienia przeżytych chwil. Odjechał także i królewicz serbski, przyjąwszy przedtem ciało dyplomatyczne i nie zdecydowawszy się, czy ugiąć karku w jarzmo małżeńskie.



Po uroczystościach w Cetynii: Król Mikołaj I. z zięciem swym, królem włoskim, Wiktorem Emanuelem II.



Po uroczystościach w Cetynii: Król Mikołaj I. w towarzystwie serbskiego następcy tronu, ks. Aleksandra.

Zabezpieczenie Krakowa przed powodzią.

Sprawa ochrony Krakowa i Podgórza jakoteż sąsiednich gmin przed powodziami, przed temi strasznemi klęskami, które w pewnych odstępach czasu stale te okolice nawiedzają, wyrządzając milionowe szkody, przybrała w ciągu ostanich miesięcy zupełnie realną postać. Na skutek bowiem ogólnych narzekań i starań reprezentacyi miast Krakowa i Podgórza, energicznych zwłaszcza po pamiętnej powodzi 1903 r., kiedy to wylew Wisły a zwłaszcza Rudawy naraził Kraków na olbrzymie szkody, na skutek dalej starań Koła polskiego w Wiedniu, rząd zdecydował się podjąć przez kierownictwo regulacyi Wisły roboty około przeniesienia koryta Rudawy pod klasztor Zierzyniecki oraz około usypania wałów, chroniących Kraków i Zwierzyniec przed wylewem Rudawy. Dziś prace około koryta Rudawy



Po uroczystościach w Cetynii: Członkowie czarnogórskiego parlamentu.



Po uroczystościach w Cetynii: Królowa Milera i jej córka Helena, królowa włoska, w drodze na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod szpital.

już są na ukończeniu, wody tej spokojnej, a jednak czasem tak groźnej, tak strasznej rzeki, spływają nowem, pięknie wykonanem korytem, zamkniętem wysokimi wałami, a stare jej koryto w ulicach Krakowa zostanie wnet zasklepione.

Obecnie więc, po ukończeniu robót nad przeniesieniem koryta Rudawy, przystąpił rząd w bieżącym roku do robót nad poskromieniem wód Wisły i uporządkowaniem jej brzegów.

Sprawa to o wiele niż poprzednia trudniejsza, wymagająca rozlicznych i wyczerpujących studyów, zwłaszcza, że łączy się z nią bezpośrednio sprawa przygotowania Wisły do połączenia drogą wodną z Odrą i Dunajem.

Studya przedwstępne podjęło ministerstwo handlu w departamencie dróg wodnych oraz w krakowskiej ekspozyturze. Uwzględniono w projektach istniejące warunki miejscowe i życzenia miast obu t. j. Krakowa i Podgórza. Podjęte na podstawie tych studyów prace, rozpadają się na dwie części, mianowicie na ochronę obu miast przed powodzią i na uspławienie Wisły, przez nadanie jej korytu większej głębokości, niezależnej od stanu wód, co w technicznej literaturze nazywa się skanalizowaniem rzeki.

W tym celu rozpoczęła obecnie ekspozytura dróg wodnych budowę murów bulwarowych po stronie Krakowa na przestrzeni od stacyi kolejowej Grzegórzki aż po kościół na Skałce, w Podgórzu od rzeźni miejskiej po granice Ludwinowa. Mury te, opasujące jak gdyby dwoma wstęgami oba brzegi, otrzymają odpowiadającą piękności Krakowa architekturę w kamieniu. Zmieniając zaś obecnie istniejące, naturalne brzegi Wisły na ściany prawie pionowe, dozwolą na wykonanie po obu stronach rzeki dróg bulwarowych górnych o szerokości do 20 m., zabezpieczonych gustownymi poręczami. Widok z bulwarów nadwiślańskich będzie prześliczny.

Drogi bulwarowe służyć też będą do celów handlowo-przemysłowych, łączyć się bowiem będą z drogami dolnemi, stanowiącemi właściwe wybrzeze handlowe, gdzie odbywać się ma przeładowywanie towarów, spławianych Wisłą i przyszłym kanałem Du-



Zabezpieczenie Krakowa przed powodzią: Wykop 6 metrowej głębokości na kollektor po stronie podgórskiej.



Zabezpieczenie Krakowa przed powodzią: Parowy bagier lądowy w pierwszej pozycyi, gdy kopie ziemię.



Zabezpieczenie Krakowa przed powodzią: Bagier w drugiej pozycyi, gdy wykopaną ziemię dźwiga.



Zabezpieczenie Krakowa przed powodzią: Wykop i fundamentowanie dolnego muru bulwarowego po stronie krakowskiej.

naj-Odra-Wisła, na wozy kolejowe po torach, złączonych ze stacyami w Grzegórzkach i Płaszowie. Wybrzeża te odgraniczają od rzeki niższe mury bulwarowe, do których przybijać będą statki i łodzie.

Ażeby umożliwić wjazd statków kanałowych do Wisły przy każdym stanie wody, zamierza Ekspozytura wybudować poniżej Krakowa, w Dąbiu, jaz ruchomy, żelaznej konstrukcyi i zamknąć nim poprzecznie rzekę. Przy pomocy tego jazu będzie można wodę w Wiśle spiętrzyć i cofnąć pod Kraków a w ten sposób utrzymać w korycie zawsze stan wody odpowiedni i dogodny dla żeglugi.

Z powodu zaś zamierzonego podniesienia zwierciadła wody w Wiśle, okazała się też konieczną budowa kollektora kanałowego, do którego będą uchodzić wszystkie kanały miejskie. Stamtąd zostaną one wyprowadzone do Dąbia, gdzie będzie ujście do Wisły.

Roboty około kanalizacyi Wisły są obecnie w pełnym toku. Kieruje niemi rządowa Ekspozytura budowy dróg wodnych, podzieliwszy pracę na dwa tzw. losy. Pracami po stronie losu krakowskiego kieruje starszy komisarz budownictwa inżynier Pietraszkiewicz, przy współpracownictwie inżyniera Ćmikiewicza, po stronie losu podgórskiego starszy komisarz Skałka przy współpracownictwie inżyniera Pelczarskiego.

Wykonanie robót powierzył rząd spółce inżynierów przedsiębiorców pp. Rodakowskiemu, Sosnowskiemu i Zacharyewiczowi.

Ze względu na ogólne zainteresowanie sprawą robót po obu obrzegach Wisły, zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg zdjęć, przedstawiających obecny stan tych robót, prowadzonych ogromnie energicznie i przy zastosowaniu wszelkich, w tej dziedzinie istniejących, najlepszych maszyn. Jest więc tam zdjęcie, przedstawiające maszynę do mieszania betonu, dalej zdjęcia parowego bagieru lądowego w trzech fazach pracy, służącego do skopywania brzegów Wisły oraz zdjęcia wykopów na kollektory po obu brzegach Wisły. Przy jednym z bagierów widać grupę inżynierów, kierujących pracami około skanalizowania Wisły i ochrony Krakowa i Podgórza przed powodzią.



Zabezpieczenie Krakowa przed powodzią: Maszyna do mięszania betonu. (Strona krakowska).

Rozbiór Marokka.

Kilka zaledwie lat minęło od chwili, gdy cała Europa zajmowała się sprawami marokkańskiemi, które o mało nie doprowadziły do konfliktu między mocarstwami. Postanowienia konferencyi w Algeciras unormowały jakoś zawikłane stosunki, zdawało się, że sytuacya się wyjaśniła, a kraj pod rządami Mulej Hafida i „opieką“ Europy powoli odżyje i zacznie się normalnie rozwijać. Zawiodły jednak nadzieje, Marokko jest ciągle widownią, na której rozgrywają się wypadki, które prędzej, czy później doprowadzić muszą do katastrofy, a ta pociągnąć może za sobą i interesowane mocarstwa, pomiędzy



Rozbiór Marokka: Sułtan Marokka, Mulej-Hafid.



Fot. Secesya, Podgórze.

Zabezpieczenie Krakowa przed powodzią: Bagier w trzeciej pozycyi, gdy wykopaną ziemię wrzuca do wagonów. Poniżej grono inżynierów i kierowników budowy.



Rozbiór Marokka: Mulej-Hafid, rozmawiający z oficerami francuskimi.

któremi bardzo łatwo może przyjść do konfliktu. Zmiana istniejącego stanu rzeczy staje się nieunikniona, zwłaszcza że postanowienia traktatu w Algeciras stosowane są tylko w nadbrzeżnych okręgach francuskich.

Coraz częściej pojawiają się też wzmianki w pismach politycznych o konieczności podziału Marokka pomiędzy interesowane mocarstwa, mianowicie Francyę, Hiszpanię, Anglię i Niemcy.

Jak donosi londyńska *„Morning Post“* z Tangeru, przygotowują się tam bardzo ważne wypadki, które w najbliższym już czasie zmienią zupełnie *status quo.* We wnętrzu kraju panuje najzupełniejszy chaos i bezrząd, który nader ujemnie oddziaływa na sąsiednie prowincye, zostające pod rządami mocarstw europejskich, z tego właśnie powodu toczą się między interesowanymi gabinetami układy co do podziału Marokka. Rządy jednak nie mogą jakoś dojść do porozumienia, chociaż bowiem w zasadzie godzą się wszystkie na podział, każdy chciałby dla siebie zatrzymać najlepszą część, a to znów nie podoba się reszcie. Sultana Mulej-Hafida nikt naturalnie nie pyta się o zdanie, gdy przyjdzie odpowiednia pora, powie mu się poprostu, aby zabierał manatki i szukał sobie wygodniejszego zajęcia.

Francya, jako najbardziej interesowana, żąda dla siebie największej części, Niemcy mają apetyt na stacyę węglową, której im na Morzu Śródziemnem koniecznie potrzeba, spodziewają się też, że uzyskają pewne prawa do eksploatacyi kopalń w głębi kraju. Hiszpania otrzymałaby w takim razie port Agadir z okręgiem. Wszystko rozbija się jednak o żądanie admiralicyi angielskiej, która rości sobie pretensye do portu Tangeru, ważnego nadzwyczaj, ze względów strategicznych, czemu znów sprzeciwia się Francya, a głównie Niemcy, zawistnem okiem patrzące zawsze na rozwój wielkobrytańskiej potęgi.

Dzieląc się cudzą skórą, sprzymierzeńcy gotowi się pobić jeszcze między sobą, oczy całej Europy zwracają się też w stronę północnej Afryki, gdzie leży przyczyna możliwego konfliktu.

Wystawa bydła pod Lwowem.

Staraniem lwowskiego oddziału galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego, odbyła się w ubiegłym tygodniu w Siemianówce, jednej z największych wsi w pobliżu Lwowa, wystawa bydła, chodowanego przez włościan z okolicznych gmin.

Na wystawę tę nadesłano bardzo wiele okazów bydła opasowego i rozpłodowego, okazów istotnie pięknych, świadczących, że dzięki opiece towarzystwa gospodarskiego sprawa hodowli bydła w kraju naszym posunęła się znacznie naprzód. Widocznie włościaństwo nasze zrozumiało już, jak wielkie znaczenie, jak wielkie bogactwo przedstawia w gospodarstwie rolnem inwentarz żywy, to też stosuje się ściśle do wskazówek, jakich mu pod tym względem udzielają instruktorowie i delegaci towarzystwa Kółek rolniczych i towarzystwa gospodarskiego.

Bardzo dobrym środkiem pedagogicznym są tu także wystawy, które pozwalają zaznajomić się włościaństwu z wynikami usiłowań na polu podniesienia hodowli bydła w innych stronach, oraz stanowią pewnego rodzaju egzamin. Zachętą zaś do pracy w tym kierunku są nagrody, jakie właściciele najpiękniejszych okazów otrzymują od towarzystwa gospodarskiego. Wystawa w Siemianówce miała właśnie na celu przegląd bydła włościańskiego z okolic podlwowskich i wynagrodzenia odpowiedniemi premiami właścicieli i hodowców.

Królewska dziatwa.

Panujący od kilku miesięcy nad potężnem państwem angielskiem król Jerzy V. może się nazwać nietylko szczęśliwym panującym, nietylko szczęśliwym mężem, ale przedewszystkiem nad wyraz szczęśliwym ojcem. Związek małżeński jego z księżną Maryą Teck, pobłogosławiony został gromadką sześciorga hożych dzieciaków, w czem pięciu synów i jedna córka. Najstarszy z synów, Edward, dźwigający obecnie godność księcia Walii, jako następca tronu, liczy lat 16; drugi z rzędu, książę Albert, liczy lat 15, poczem następuje 13-letnia córka Marya Wiktorya, dalej 10-letni książę Henryk, 8-letni Jerzy i wreszcie najmłodszy książę Jan, liczący lat dopiero 5.

Dziatwa królewska kształci się pod opieką znakomitych sił pedagogicznych a stosownie do życzenia ojca, zamiłowanego sportowca, przykłada się tam bardzo baczną uwagę do strony fizycznego wychowania. Wogóle w Anglii odgrywa sport ogromnie doniosłą rolę w zakresie wychowania młodzieży, a wychowanie dzieci królewskich jest pod tym względem najlepszym przykładem i wzorem dla najszerszych warstw.

Rycina nasza przedstawia całą gromadkę dziatwy królestwa angielskich.



Królewska dziatwa: Dzieci króla angielskiego Jerzego V. Stoją od lewej ku prawej: ks. Albert, ks. Henryk i następca tronu Edward, książę Walii: Siedzą ks. Jan, ks. Marya i ks. Jerzy.

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

2

— Wybaczy pan — przemówił — ale dowiaduję się, że pan się wybiera na wyprawę do Green-Park.

— No proszę... już pan wie o tem?

— To pańska własna wina, mój drogi panie Dickson, pan tak głośno mówi... doprawdy, zupełnie niechcący słyszeliśmy całą pańską rozmowę z ajentem Mac Phersonem. Pozwoli mi pan towarzyszyć sobie?

— Będzie mi bardzo przyjemnie.

— Czytałem dużo Conan Doyle'a i radbym zobaczyć pana przy robocie. To taka sobie zachcianka, widzi pan. A więc zgoda, pozwala pan?... Ale w takim razie niechżeż mi wolno będzie podwieźć panów moim automobilem. Tym sposobem za kilka minut będziemy w Green-Park. Tą dorożką jechalibyście panowie najmniej godzinę.

— Przyjmuję — odrzekłem z uśmiechem — Miss Edyta i Perkins będą sobie musieli zagrać we dwójkę w pikietę...

W chwilę potem wspaniały automobil zajechał przed bramę.

Rozdział II.

Mr. Crawford prowadził sam, a ponieważ pędził z piekielną szybkością, w niecałe dziesięć minut stanęliśmy przed domem Hugona Chancera.

Było to ładne mieszkanie z czerwonej cegły i kamienia, z łukowemi oknami w parterowych pokojach. Dzikie wino i klematisy oplatały ściany, tworząc z balkonów małe, powietrzne altanki. Przejechawszy aleję lipową, zajechaliśmy przed wspaniałą murowaną werandę, modą, jaka jest w Australii, pomalowaną na biało.

W przedpokoju siedziało kilkoro służby; wszyscy oni na mój widok przybrali miny wielce żałosne, jak gdyby kogoś najbliższego stracili.

Skoro tylko podałem swoje nazwisko, wysunął się tłusty i przesadnie heliotropem uperfumowany lokaj i zaprowadził nas na pierwsze piętro. Tam bowiem był gabinet pana Chancera.

Drzwi, nieźle zmasakrowane siłą ramion Bailey'a i Mac Phersona, były uchylone.

— Pozwól mi pan wejść samemu — zwróciłem się do Bailey'a — albo nie... razem z tym panem.

I wskazałem na pana Crawforda.

— Jak pan woli, panie Dickson — odpowiedział nadinspektor z ironicznym uśmiechem.

Weszliśmy zatem do śmiertelnej komnaty, ja i mój towarzysz, i zaraz też krzesełkiem zasunąłem drzwi. Zarazem też i dziurkę od klucza zatknąłem papierosem, by nikt nas nie mógł podglądać. Ciemno było zupełnie.

Zapaliłem zapałkę i szybko obejrzałem się po pokoju, starając się wyobrazić sobie scenę, która tu się rozegrała. Mam zwyczaj postępować w ten sposób, gdyż zauważyłem, że moje pierwsze wrażenie jest zazwyczaj trafnem.

Pan Crawford śledził wszystkie ruchy moje z widocznem zainteresowaniem.

— Żałuję, że nie mam łatwości opowiadania doktora Watsona, bo stałbym się historyografem pańskiej pomysłowości.

— Pochlebia mi pańskie uznanie — odpowiedziałem z uśmiechem — ale w każdym razie jest ono przedwczesne... Niech pan przynajmniej poczeka, aż coś odkryję!

Dokoła siebie odróżniałem na razie tylko kilka mebli z czarnego drzewa i wielkie lustro, w którem się odbijał płomyk mej zapałki... a dalej na podłodze spostrzegłem coś jakby białą poduszkę, którą widocznie któreś ze służby w roztargnieniu upuściło. Zbliżywszy się jednak, ujrzałem, że to, co brałem za poduszkę, to głowa nieszczęsnego pana Chancera. Wtedy zapaliłem świecę, stojącą na konsolce i powoli a metodycznie, jak to zwyczajnie czyniłem, zacząłem oglądać wszystko po kolei.

Na pierwszy rzut oka nie dojrzałem nic, skąd możnaby zaczerpnąć jakąkolwiek wskazówkę. Źle się zaczynało.

— Trzeba będzie dokładnie zbadać umarłego — rzekłem.

Pan Chancer leżał na wznak, z lewą ręką wyciągniętą i z zaciśniętą pięścią; prawą nogę, padając, podwinął pod siebie.

Dziwna rzecz! twarz umarłego była purpurowa, prawie fioletowa w górnej części czoła, a szeroko otwarte oczy błyszczały szczególniejszym blaskiem. Przyłożyłem ucho do jego piersi i muszę wyznać, że doznałem prawdziwego wzruszenia, usłyszawszy stłumiony, regularny i bardzo szybki odgłos.

— Cóż to! czy ja śnię? — zawołałem, chwytając pana Crawforda za ramię — proszę, niech pan posłucha!

Pan Crawford przyklęknął i posłuchał z kolei.

— W istocie — szepnął — słychać coś, jak gdyby...

Przestraszony wyraz jego oczu kończył myśl, której wzruszenie nie dało mu dopowiedzieć. Lecz ja nagle wzruszyłem ramionami.

Toż to zegarek!... to zegarek zmarłego wydawał ten odgłos.

Nie było więc wątpliwości; pan Hugo Chancer nie żył — a jeżeli oczy jego, o dziwo! zachowały blask, to pochodziło to, jak się później dowiedziałem, z wielkiego napływu krwi do mózgu.

Postawiwszy świecę na stole, zacząłem chodzić po pokoju, zatrzymując się długo przed każdym przedmiotem.

Wszystko było w porządku. Jedno tylko krzesło było przewrócone, ale niepodobna było przypuszczać, by upadło równocześnie z panem Chancerem. Znajdowało się bowiem dosyć daleko od trupa i starzec nie mógł go popchnąć, padając na podłogę.

Wydało mi się to dziwnem i udzieliłem tej uwagi mojemu towarzyszowi.

— Podziwiam — odpowiedział pan Crawford — podziwiam, z jakim trudem stara się pan dowieść zbrodni, dla której niema najmniejszej wskazówki. Czyż panu koniecznie na tem zależy, panie Dickson, by dowieść, że ten stary oryginał został zamordowany?... Powie mi pan, że to skłonność zawodowa?... Co do mnie, przychyliłbym się do zdania poczciwych ludzi...

— Że to apopleksya?

— Tak, apopleksya. Niech pan popatrzy na tę twarz, na niezwykłe zarumienienie czoła, na opuchnięcie powiek i podkurczony układ dolnych kończyn; przyznaj pan, że wszystko zdaje się potwierdzać tę dyagnozę?

Dowodzenie to zachwiało mojem przekonaniem.

— A jednakże to krzesło?... — zarzuciłem.

— Ach, czyż można wiedzieć, jak rusza się i rzuca taki biedak, którego brak tchu zaczyna dławić?

Gotów już prawie byłem uznać słuszność tego rozumowania. W moim niedawnym wielbicielu objawiał się teraz niebezpieczny krytyk. To już nie był Watson, który wciąż tylko przytakuje i przychwala... to był rezouer, który widział nader trafnie i który zanim doszedł do wniosku, chciał rozumieć, na czem się ten wniosek opiera. Niema chytrzejszego człowieka, jak taki milioner!... Cóż mi zresztą pozostawało na obronę mojego mniemania? Nic, poza spóźnionem świadectwem, może przywidzeniem dziewczyny, nerwowej może, a że zdenerwowanej, to pewna...

Otworzyłem drzwi.

— Proszę zawołać służącą Ketty — wydałem rozkaz dwom policyantom, stojącym na podejściu schodów.

W parę minut później przyszła pokojówka. Było to okrągłutkie stworzenie o kwitnącej cerze, jasnych blond włosach, śmiejących się, wesołych oczach. Nic w jej wyglądzie nie zdradzało histeryi ani choroby i zwróciłem na to uwagę pana Crawforda.

Dziewczyna stała przed nami z rękoma w kieszonkach białego fartuszka i przyglądała się trupowi z wyrazem jakiegoś urzędowego współczucia.

— Co powiedział doktór? — spytałem jej bez dalszych wstępów.

— Doktór powiedział, że to udar mózgowy.

— Tak — mruknąłem — i to także zawodowiec — a ty, co o tem myślisz sama?

— Ja bo jestem przekonana — odpowiedziała dziewczyna — że mojego pana zamordowano... od tego, proszę pana, to ja nie odstąpię... a zresztą to samo powiedziałam panom od policyi.

— Wiem, znam twoje zeznanie... Określ mi dokładnie, o której godzinie słyszałaś hałas, czy też szamotanie?

— Trochę przed dwunastą.

— A co doktór stwierdził? O której wedle niego nastąpiła śmierć?

— O północy, proszę pana.

— Bardzo dobrze... Otóż toby się zgadzało — zwróciłem się do pana Crawforda.

Mój sąsiad uśmiechnął się lekko.

— Przepraszam — rzekł — a o której przyszedł doktór stwierdzić śmierć?

— Dziś rano, skoro tylko znaleziono trupa.

— A kiedy ta mała składała swoje zeznania przed inspektorem policyi?

— Dziś popołudniu.

— Na jej zeznania mogło oddziałać to, co doktór mówił.

Straszny milioner tryumfował teraz. Zwalczał jedno za drugiem, prawdopodobieństwa moich poszlak, obalał moje przypuszczenia... Postanowiłem jednak dotrzeć do końca.

— Proszę mi przyprowadzić całą służbę — rozkazałem.

Czworo ich było, oprócz pokojówki: ogrodnik, kucharka, stara gospodyni i ten lokaj, co to się tak obficie perfumował.

Zapytałem ich, gdy się zebrali:

— Czy pan wasz miał zwyczaj zamykać się w swoim pokoju?

Ogrodnik nie umiał nic powiedzieć, ten nigdy nie chodził na górę, do pokojów swego pana. Odpowiedzi innych były sprzeczne. Ketty, która upierała się przy swojem, twierdziła, że wchodziło się swobodnie o każdej godzinie do pokoi starca, gdziekolwiekby był. Kucharka robiła zastrzeżenia; zdarzało jej się czasem pukać napróżno do pana Chancera, gdy szła do niego po dyspozycye obiadowe.

Wonny lokaj szerzej się wypowiadał.

— Bardzo się zadziwiłem — mówił — przekonawszy się, że pan zamknął się u siebie... Jedna rzecz przedewszystkiem zadziwiła mnie: w tej porze roku pan sypiał i siadywał zawsze przy otwartych oknach... Zawsze co wieczór, zamknąwszy okienicę, zostawiałem okna otwarte za firankami... Otóż tego ranka zastaliśmy wszystkie okna szczelnie pozamykane... Widocznie pan je sam pozamykał po mojem odejściu, a jeżeli umarł na apopleksyę, jak powiadają, to zapewne skutkiem zbytniego gorąca...

— Widzi pan — rzekłem do pana Crawforda — że nadmiar ostrożności bywa czasem gorszy od nieostrożności... Ten zbój myślał o wszystkiem! Przeszedł nawet miarę, gdyż ta staranność, z jaką usiłował dowieść, że nie można się dostać do pana Chancera, dowodzi właśnie, że ktoś tam się dostał.

Pan Crawford wydawał się niekontent. Był nieco próżnym i nie lubił nie mieć we wszystkiem słuszności.

— Dlaczego doszukujesz się pan tu koniecznie morderstwa? — odpowiedział. — Przecież się ludzi nie zabija bez powodu... Zabija się, gdy w grę wchodzi namiętność, ale tu o tem, przypuszczam, niema mowy... Zabija się najczęściej dla pieniędzy... Czy okradziono pana Chancera?

Mój szanowny oponent miał słuszność. W pośpiechu nie pomyślałem dotąd, czy zachodzi tu czynnik najważniejszy, dowodzący prawdopodobieństwa mordu — rabunek. Odprawiłem więc służbę i skinąłem na Bailey'a i na Mac Phersona. Inspektor Bailey miał minę drwiącą; nie zmienił wyrazu twarzy, choć przemówiłem do niego.

— Pan z pewnością zrobił już — rzekłem — ogólne poszukiwanie.

— Tak jest, panie Dickson, zaraz w pierwszej chwili.

— Czy zauważył pan na meblach jakie ślady włamania?

— Żadnych śladów nie znalazłem, panie Dickson.

I naczelny inspektor dorzucił z naciskiem:

— Kradzież nie jest tu pobudką zbrodni, jeżeli wogóle zachodzi tu zbrodnia.

— Na czem opiera pan to twierdzenie?

Bailey wskazał palcem na małe biureczko z różanego drzewa.

— Tutaj zmarły chował swoje papiery wartościowe. Wszystko jest na swojem miejscu... pan Dickson może się sam o tem przekonać.

Otworzyłem biureczko z całą ostrożnością. Na półeczkach papiery starannie ułożone i zebrane w osobne paczki, leżały pouktadane rzędem. W tym drobiazgowym porządku nic nie pozwalało powziąć przypuszczenia, by złodziej pośpieszną ręką grzebał w tych archiwach. Przejrzałem po kolei sześć wewnętrznych szufladek i w pięciu znalazłem pełno tych drobnych przedmiotów bezwartościowych, które lubią zbierać nieszkodliwi maniacy. Szósta szufladka za pociągnięciem wydała dźwięk metaliczny.

Twarz Bailey'a rozpromieniła się.

Ta szufladka zapełniona była złotą monetą.

— To są oszczędności tego pana — rzekł nadinspektor. — Nie sądzę, żeby można mówić o kradzieży, gdy się widzi nietknięty skarb, tak łatwo dostępny.

Przyglądałem się temu złotu, w głębi szufladki, które błyszczało i zdawało się mrugać na mnie. Suma wydawała się znaczną, jednakże cały majątek

zmarłego nie mógł się na tem ograniczać. Zwróciłem na to uwagę Bailey'a.

— Czyż można wiedzieć, skąd on tam czerpał swoje dochody! — odpowiedział nadinspektor. — Musiał mieć jakiegoś prawnego zastępcę w Melbourne, który majątkiem jego administrował, a jemu dochody przysyłał... Te pieniądze, to zapewne ostatnia rata: takie przynajmniej jest moje skromne mniemanie, panie Dickson.

Takie wytłómaczenie było w istocie dość prawdopodobne. W obecności policyantów wypróżniłem zawartość szuflady i pieniądze, sztuka za sztuką, przeszły przez moje palce. Były to suwereny z wizerunkiem królowej Wiktoryi i — zadziwił mnie ten szczegół — wszystkie wyglądały nowo i błyszcząco, choć większość miała stempel z lat dawniejszych.

Zacząłem przypuszczać, że pan Chancer, lubiąc patrzeć na swoje bogactwa, umyślnie kazał chować dla siebie monety, które z kas państwowych nie były puszczane w obieg i przez to zachowały pozór zupełnie uowych. Było tam w złotej monecie dokładnie sto ośmdziesiąt trzy funtów szterlingów i trochę srebra. Korzystając z półmroku, jaki zalegał w pokoju, nieznacznie wsunąłem do kieszeni cztery suwereny, wzięte z szufladki, a na ich miejsce włożyłem cztery inne z mych własnych pieniędzy.

— Dobrze zatem — oświadczyłem sucho — nie było tu ani włamania, ani kradzieży... Dziękuję panom. Jesteście świadkami, że całą sumę, nietkniętą, włożyłem tu napowrót.

Policyanci skłonili się.

Wziąłem znów lichtarz do ręki... nagły błysk oświetlił głowę zmarłego, a ja nieznacznie zadrżałem. Szybko odprowadziłem Bailey'a i Mac Phersona do drzwi, a drzwi, tak jak poprzednio, zastawiłem krzesłem i przysunąłem się do mego towarzysza. Pan Crawford już się tą sprawą nie interesował; spojrzawszy na niego, spostrzegłem, że ziewa... Marne musiał mieć w tej chwili wyobrażenie o mnie i niewątpliwie byłem w jego oczach nie tęgim Sherlockiem Holmesem.

— Ale teraz — rzekłem — będę pytał samego trupa. Niech on mówi.

— Co znaczy teu grobowy żart?— zapytał.

— Drogi panie, ja tu nie żartuję, ani też nie urządzam kawałów — odpowiedziałem — i zaraz mnie pan zrozumie.

Wróciłem do ciała i przesuwając świecę w różne strony, w prawo, w lewo, w górę, w dół, nie mogłem powstrzymać okrzyku radości. Nie omyliłem się.

Przyklęknąłem — i poprosiwszy pana Crawforda, by mi w należytej odległości potrzymał świecę, ująłem oburącz głowę pana Chancera. We włosach jego pełno było drobnych punkcików lśniących, jak szkło. Były to ziarnka piasku, prawie niedostrzegalne, które się jednakże palcami doskonale wyczuwało. Gdy, odprowadzając policyantów, zauważyłem to świecenie, przyszła mi odrazu myśl, która się teraz coraz wyraźniej kształtowała.

Tak jest, i to najwyraźniej. Z czemś podobnem już raz miałem do czynienia...

— To piasek — oświadczyłem stanowczo.

Pan Crawford powtórzył automatycznie:

— W istocie, zdaje się, że to piasek.

— I czy nie wydaje się panu dziwnem, że piasek znajduje się we włosach pana Chancer?

— Przyznam się...

— I niczego to panu na myśl nie nasuwa?

— Nie... chyba że... ale tego nie można przypuszczać... chyba że pan Chancer upadł gdzieś w swoim ogrodzie, a potem wrócił do domu i tu dopiero ostatecznie umarł...

— To dosyć dobrze rozumowane — rzekłem— ale to trudno przypuścić... w istocie... Ten piasek za drobny jest, by mógł pochodzić ze ścieżek ogrodowych... To piasek z morza, panie Crawford!

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego pewien.,. a ta odrobina piasku, która tu jest, wydostała się z „bag-maul'u“.

— Z „bag-maul'u“, mówi pan? Co to takiego?

— Nie zna pan tego przyrządu?

— Jako żywo nie mam pojęcia... pierwszy raz w życiu słyszę tę nazwę.

— Widzi pan, „bag-maul“ to rodzaj małego podłużnego worka, napełnionego piaskiem, którym się, jak maczugą, posługują tutaj w Australii pewnego rodzaju zawodowi rabusie... Pan Hugo Chancer został zamordowany takim woreczkiem.

— Ależ to interesujące... ogromnie interesujące... — przyznał mój krytyk z rozjaśnioną twarzą.

— Pan Hugo Chancer — ciągnąłem dalej — padł ofiarą zamachu, twierdzę to wciąż. A teraz dałem panu na to dowód.

— W takim razie teraz — odpowiedział pan Crawford — powinienby pan wyśledzić osobę zbrodniarza.

— Naturalnie. Ale w tym celu przedewszystkiem muszę zbadać, jakim sposobem zbrodniarz, czy nim jest ktoś z domu, czy z poza domu — dostał się tu i wyszedł stąd; wszystkie bowiem dojścia, jak się okazało, zamknięte były wewnątrz, w chwili, gdy spostrzeżono zgon.

Bailey pierwszy wszedł do gabinetu pana Chancera i to wyłamując drzwi. Pierwszem jego staraniem, gdy się przekonał, że stary pan istotnie nie żyje, było obejrzeć dokładnie wszystkie drzwi i okna. Wszystkie były zamknięte i szczelnie na zasówki pozasuwane. Ja z mej strony zrobiłem tosamo, co i Bailey i zauważyłem też to samo, co i on. Jedna z zasuwek u okna, zbyt obluźniona, podparta nawet była, dla większej szczelności, złożonym w kilkoro papierem.



Przyklęknąłem i ująłem głowę pana Chancera.

Wziąłem do ręki ten papier i rozwinąłem go powoli. Była to koperta średniego formatu, która na tylnej stronie miała wyraźne ślady pieczęci; lak cały był skruszony przez zgniecenie. Adresowaną była do pana Hugona Chancera, a w narożniku miała odbity stemplem adres wysyłającego: M. R. C. Withworth 18. Fitzroy street Melbourne.

— List w interesie — pomyślałem — może przesyłka pieniężna... Nadinspektor Bailey miał tym razem słuszność.

Wsunąłem na wszelki przypadek kopertę do kieszeni i badania moje ciągnąłem dalej.

Byłyby one prawdopodobnie pozostały bez skutku, gdy nagle, przyglądając się uważnie niskim drzwiczkom, zamaskowanym w obiciu ściany, spostrzegłem na wysokości rygla, mały okrągły otworek, średnicy mniej więcej dwóch centymetrów. — Dziurka ta, widocznem to było, zrobiona była świeżo, średniej wielkości świderkiem. Znać nawet było jeszcze na posadzce drobniuchny pokład opiłków drzewnych.

Klucz zagadki miałem tedy w ręku. Morderca był to stanowczo człowiek nader zręczny i walka z nim zapowiadała się ciekawa a niełatwa... Cała ta sprawa, tak ciemna z początku, wydawała mi się teraz przejrzystą i jasną. Morderca, spełniwszy swoje dzieło, wyszedł temi niskiemi drzwiczkami i za pomocą podwójnego sznurka, zaczepionego o guziczek rygla, mógł wyszedłszy, ten rygiel zasunąć, a potem, zamknąwszy drzwi, wyciągnął sznurek i uszedł.

Zakomunikowałem zaraz odkrycie moje panu Crawfordowi i jasno a zwięźle przedstawiłem mu cały fortel zbrodniarza.

Milioner zdumiał się na razie, potem się zaciekawił, w gruncie jednak zdawał się trochę nie rad z odkrycia.

Tryumfowałem.

— To bardzo sprytnie pomyślane — zauważył, oglądając dziurkę.

— Tak — odpowiedziałem — ale byłoby się doskonale udało, gdyby zbój nie był zaniechał zatknąć dziurki kołeczkiem drewnianym, który powinien był sobie zawczasu przygotować!

Milioner spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Co za przepyszny rzezimieszek mógłby być z pana, mój drogi panie Dickson! — zauważył, klepiąc mnie przyjacielsko po ramieniu.

Złożyłem ukłon, pełen skromności.

Pomyślałem, że gość mój nie znudził się wcale i że nie żałował, iż wybrał się ze mną na tę wyprawę i pomyślałem też, że odtąd nie będzie chciał ściągać mnie z wyżyny, na której w jego oczach stanąłem.

Jednakże bynajmniej nie życzyłem sobie, by mi szczędził swych krytycznych uwag. Podniecały mnie one i dodawały mi bodźca; postanowiłem tedy zachęcić go pochlebstwem.

— Pan sam siebie uie docenił, drogi panie, mówiąc przed chwilą, że nie jesteś doktorem Watsonem... A w rzeczywistości jest pan właśnie kimś podobnym... Sławny Sherlock Holmes powiada gdzieś, że są ludzie, którzy sami nie posiadają genialności, mają jednak dar pobudzania genialności drugich; przyznaje też, że doktór Watson oddaje mu codziennie tę usługę przez to jedynie, że zmusza go do powtarzania swoich rozumowań; i za to wyraża mu wdzięczność... Ja to samo gotów jestem zrobić wobec pana... Pańskie przeznaczenie ma dla mnie wielką wartość, o wiele większą, niż proste błędy Watsona.

Pan Crawford spojrzał na mnie tak zaskoczony, że słów mu na razie zabrakło.

— A więc to ma znaczyć — odpowiedział po chwili — że mnie pan zawdzięcza wykrycie morderstwa, spełnionego tutaj?

— Stanowczo panu, mój drogi paue.

— Bardzo mi to pochlebia, zapewniam pana, ale podejrzewam, że mnie pan, jak to mówią, bierze na kawał...

— Bynajmniej, to moje najszczersze przekonanie!

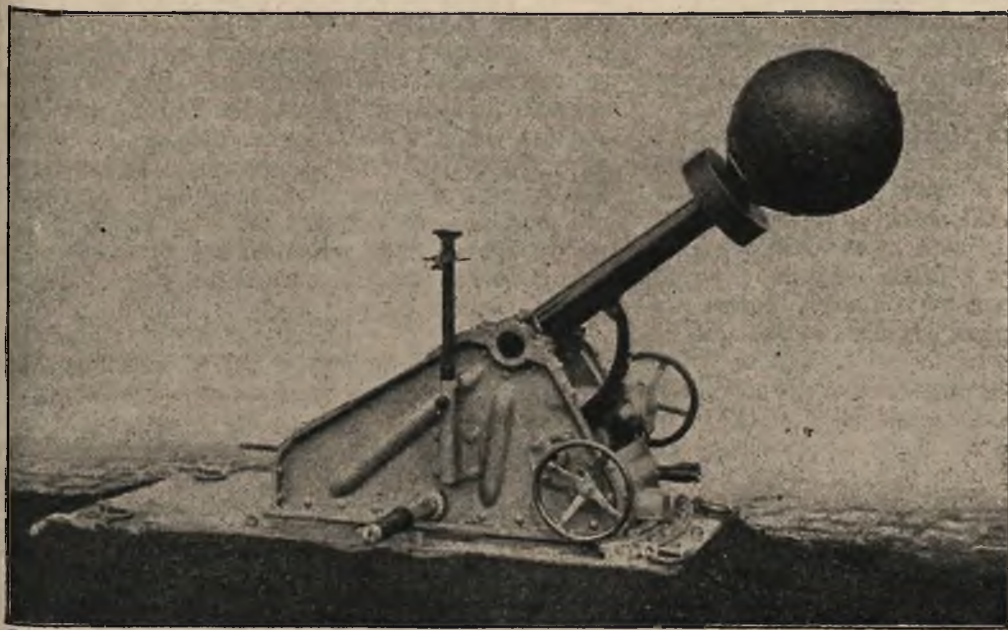
— W takim razie pozwól pan, że panu podziękuję.

I uścisnęliśmy sobie dłonie potężnem *shake-hands*.

Rozdział III.

Pochwyciłem zatem ślad śladu; trzymałem koniec przewodniej nici, za którą iść trzeba było, nie puszczając jej ani na chwilę. A tym końcem nici były te ukryte drzwiczki, którędy mój morderca się wymknął. Z tego punktu należało tropić go dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pod znakiem Marsa: Armata Kruppa wraz z bombą, gotową do strzału.

Odznaczenie dyrektora lwowskiego teatru.

(Do illustracyi na str. 3.)

Z okazyi ukończenia 80 roku życia, obdarzył cesarz Franciszek Józef I. wiele osobistości, zasłużonych na rozmaitych polach działalnosci publicznej, orderami i odznaczeniami. Między innymi odznaczenie także otrzymał dyrektor lwowskiego teatru miejskiego, Ludwik Heller, a mianowicie krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa.

Zaszczytne odznaczenie dyrektora Hellera przyjęto ogólnie z szczerem zadowoleniem, jako słuszną nagrodę za jego istotnie niezmordowaną, pełną poświęcenia pracę około podniesienia lwowskiego teatru. Usiłowania dyrektora Hellera uwieńczone też zostały już obecnie rezultatami bardzo pięknymi, scena lwowskiego teatru może śmiało współzawodniczyć z każdą zagraniczną. Mimo niesłychanie trudnych warunków pracy, polegających przedewszystkiem w tem, iż obok działu dramatu musi być prowadzony dział muzyczny, a więc opera i operetka, oba — zwłaszcza opera — ogromnie kosztowne i nie rentujące się, teatr lwowski rozwija się coraz piękniej, w każdym dziale posiada siły artystyczne pierwszorzędne, jakich pozazdrościć nam może każda scena europejska.

Tygodniowy pobyt artystów dramatu lwowskiego w Wiedniu w lecie bieżącego roku, pobyt uwieńczony ogromnym sukcesem moralnym, był najlepszym dowodem wysokiego poziomu lwowskiej sceny. Że w tem duża zasługa dyrektora Hellera, jego niezłomnej energii, olbrzymiej pracowitości i wielkiego, szczerego przywiązania do teatru, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Zaszczytne odznaczenie i uznanie, jakie dyrektora Hellera obecnie spotkało, będzie dlań zachętą do dalszej pracy w wytkniętym kierunku, będzie też rodzajem zadośćuczynienia za niesmaczne napaści i intrygi, inspirowane przez część prasy lwowskiej oraz nielicznych członków rady miejskiej, którzy na każdym kroku usiłują szkodzić dyrektorowi Hellerowi i pracę jego — i tak już bardzo trudną — jeszcze bardziej utrudnić.

Zgon cenionego pisarza.

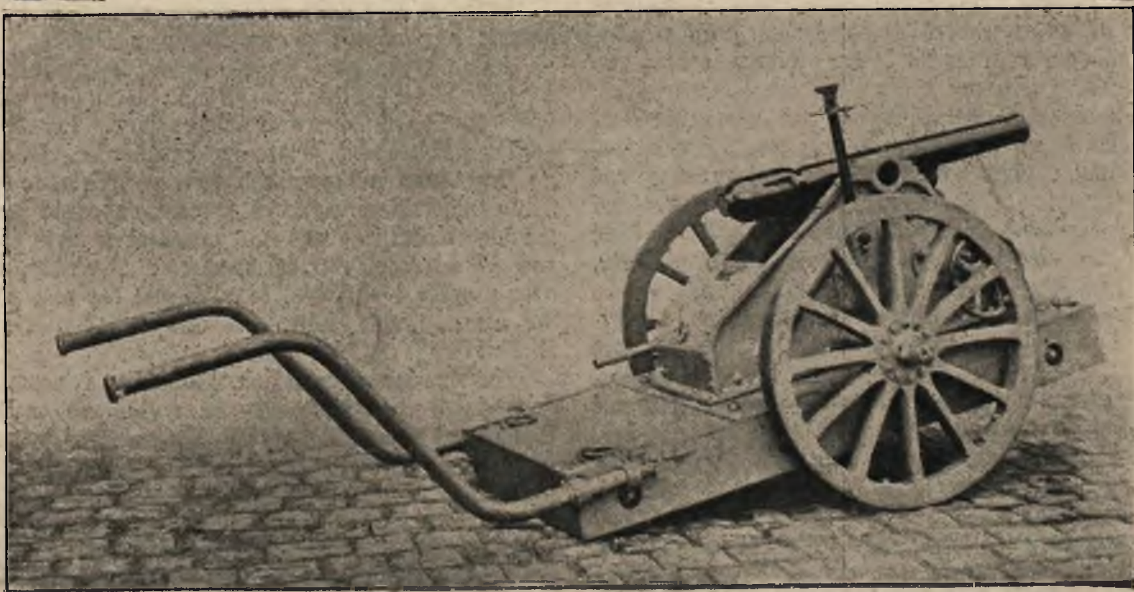
W ubiegłym tygodniu zmarł w Warszawie śp. Rajmund Stanisław Kamiński, adwokat, zamiłowany zwolennik poezyi i sztuki dramatycznej, autor kilku większych, cenionych prac.

Po ukończeniu gimnazyum w Łomży, wstąpił śp. Kamiński na wydział prawny Szkoły Głównej, w której w r. 1866 zdobył stopień magistra prawa i administracyi. Poświęciwszy się adwokaturze, nie zaniedbywał ukochanej literatury. Pisał sam wiele i popierał młodych autorów. Nadewszystko ukochał sztukę dramatyczną.

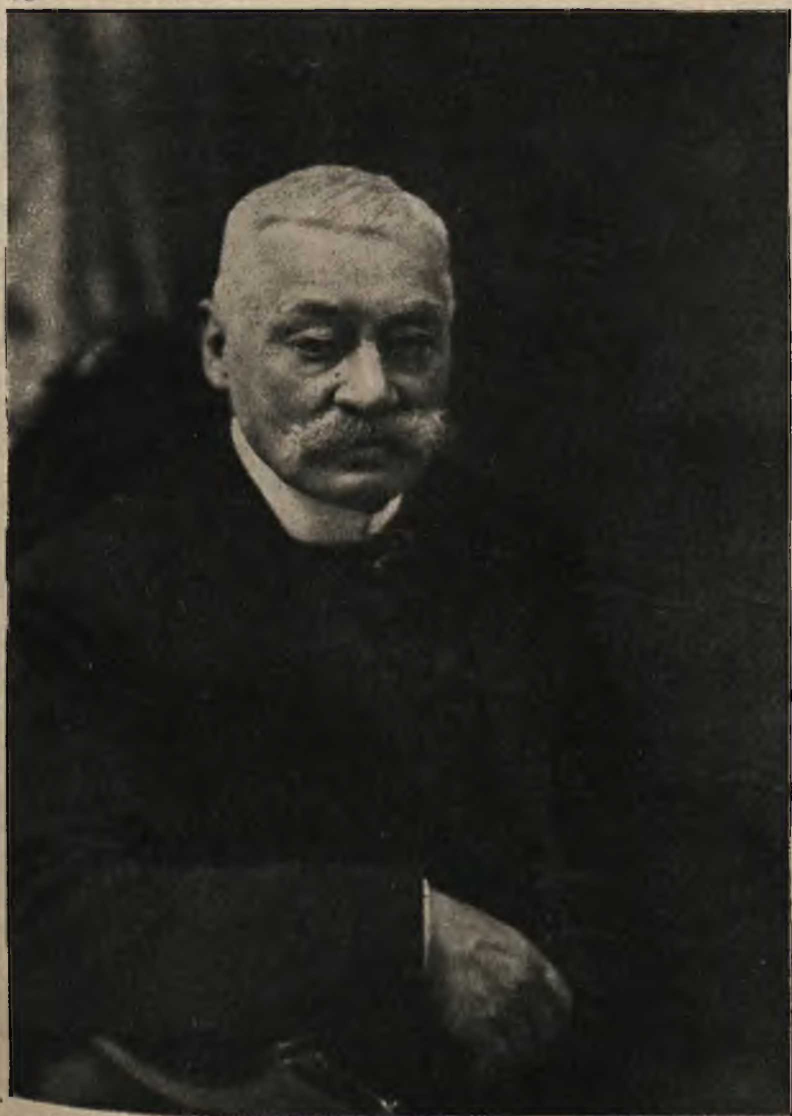
Z prac śp. Kamińskiego wspomnieć należy o wydaniu nieznanych dotychczas listów Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej, ogłoszonych w jednem z pism warszawskich, dalej o zakończeniu dramatu Słowackiego „Złota Czaszka“, drukowanem niedawno w czasopiśmie „Scena i sztuka“, oraz o dwu większych dramatach historycznych: „Antoniusz i Kleopatra“ oraz „Pan Twardowski“, dotąd nie wydanych.

W r. 1906 stanął śp. Kamiński na czele założycieli polskiego towarzystwa dramatycznego, któremu od pierwszej chwili przewodniczył, początkowo jako wiceprezes, a następnie jako prezes.

Człowiek wysokich zdolności, wielkiej kultury, ogromnie towarzyski i uczynny, cieszył się szczerą sympatyą w szerokich kołach Warszawy, zwłaszcza w sferach artystycznych i literackich. Zgon też zacnego tego człowieka wywołał powszechny żal i współczucie.



Pod znakiem Marsa: Nowa armata do rzucania bomb, na lawecie.



Zgon cenionego pisarza: Ś. p. Rajmund Stanisław Kamiński.



Sprawa „Sillonu: Wydawca i redaktor *Sillonu*, Marek Sangnier.

Kronika tygodniowa.

(Com dawno tuszył... — Cesarz niemiecki, czy król pruski. — Bethman w opałach. — Kobiety przeciw Wilusiowi. — Uchwały sufrażystek. — Ruch na prowincyi. — O złoconą koszulę. — Uroczystość św. Krzyża. — Sufrażystki a bociany. — Przestroga dla nas. — Tryumfy francuskiego lotnictwa a zmartwienie Niemców. — Zeppelinowe klapy. — Niedaleko pada jabłko od jabłoni. — Książę Pan. — Sejm. — Rusini a kanały. — Mięso z Argentyny a biurokracya. — Wiedeń a Kraków. — Ignac i Szeptycki. — Nowy rok szkolny i sezon piłki nożnej).

„Com dawno tuszył i w głos opowiadał", że mowa królewska, pomimo malborskiego złagodzenia, wywoła w Niemczech burzę, spełniło się co do joty. Najgorzej wyszedł na tem kanclerz Bethmann Hollweg, który musiał przerwać urlop wakacyjny i pospieszył do Berlina, by ratować sytuacyę. Spóźnił się nieco, iskra telegraficzna rozniosła już była po świecie sławę imperatora. Obecnie stara się przekonać świat, że mowę wygłosił król pruski, a nie cesarz niemiecki. Wobec tego on za nią odpowiedzialności przed parlamentem niemieckim nie przyjmuje. Królowi pruskiemu wolno gadać, co i kiedy mu się podoba, do odpowiedzialności pociągnąć mógłby go za to jedynie bezpośredni jego przełożony, tj. cesarz niemiecki, ten jednak otacza go ogromnymi względami i pozwala mu na wszystko. Zdaje się więc, że co się tyczy politycznego niezadowolenia Niemców, to ono już wyładowało się w artykułach pism codziennych, na wyraźne zaś życzenie cesarza niemieckiego przebaczy się królowi pruskiemu wykroczenie, stosunkowo przecież dość drobne, bo cierpi on na nieuleczalną *Redewuth.* Choćby zresztą miał paść ofiarą kanclerz, to i to nie będzie ostatecznie żadnem nieszczęściem, kandydatów bowiem na jego stanowisko nie braknie nigdy.

Daleko gorzej, że pozwolono sobie zaczepić uświadomione i uświadomić się mające kobiety, które, jak to powiadają „wzięły na ambit" i oświadczyły, że im wszystko jedno, kto mówił, cesarz niemiecki, czy król pruski, w każdym razie osoba urzędowa. Ponieważ pozwolił sobie skrytykować tak sympatyczny ruch emancypacyjny, wypowiedziały niewiasty wojnę na śmierć i życie rządowi i postanowiły robić mu na każdym kroku trudności. Na zwołanem *ad hoc* zgromadzeniu sufrażystek w Berlinie uchwalono jednogłośnie wśród frenetycznych oklasków na wniosek panny X., iż:

1) niemieckie i pruskie kobiety odmawiają stanowczo dostarczania rządowi potrzebnego kontygentu rekruta i to począwszy już od maja roku przyszłego,

2) przedstawicielom armii nie będą odtąd aż do odwołania okazywać najmniejszych dowodów sympatyi,

3) wstrzymują się od karmienia potomstwa obywateli niemieckich i pruskich, solidaryzujących się z wywodami królewieckiego mówcy, wobec czego pokoleniu noworodków grozi zupełne wygłodzenie.

W miastach prowincyonalnych potworzono komitety filialne, które mają dalej propagować ideały wiecu berlińskiego i sporządzić dokładny spis przeciwników emancypacyi, którzy jako „będący na indeksie", zbojkotowani zostaną przez patryotycznie usposobione niewiasty.

Specyalna deputacya wysłaną została także do rosyjskich kobiet, aby wstrzymały się ze złoceniem koszuli, przeznaczonej dla władcy niemieckiego, jako bowiem przeciwnik kobiecego ruchu na takie odznaczenie absolutnie nie zasługuje.

I znowu spełnia się to, przed czem zawsze przestrzegałem, to jest, że z niewiastami wojny zaczynać nie warto, jeśli się z góry nie jest przekonanym o swem zwycięstwie. Czyż i ja nie mógłbym pokazać rogów mojej magnifice, gdybym był pewnym, że zwyciężę? Ponieważ jednak wynik walki jest dla mnie wątpliwym, wolę sobie dać spokój i znosić w milczeniu krzyż, którym mnie Opatrzność obdarowała, przynajmniej w dniu 14 września będę mógł obchodzić uroczystość świętego Krzyża, który jest patronem wszystkich żonatych. W tym celu przygotowuję nawet wycieczkę do Mogiły, w której będzie mógł wziąć udział każdy mąż, o ile mu naturalnie pozwoli żona i finanse.

Gdyby więc cesarz Wilhelm chciał był słuchać mych rad doświadczonych i nie narażał się niewieściemu pokoleniu, nie byłby wlazł w błoto, z którego trudno będzie wybrnąć, kobiety bowiem na seryo biorą się do dzieła. Za ich to interwencyą odleciały już bociany z Niemiec do Egiptu, a choć naturaliści twierdzą, że tak dzieje się co roku o tym czasie, one przecież utrzymują, że jest to pierwszem następstwem ich antikrólewieckiej agitacyi. — Przestrogą niechaj to będzie i dla naszych przeciwników emancypacyi, łatwo bowiem mogą ściągnąć i na nasz kraj podobne nieszczęście.

Przyznać trzeba, że Niemcom obecnie nie powodzi się ua każdym kroku. a największą troskę sprawiają im coraz większe tryumfy francuskiego lotnictwa. „Największemu Niemcowi dwudziestego stulecia", tj. Zeppelinowi, jakoś coraz bardziej się nie wiedzie, a balony jego z daleko większą chyżością lecą na dół, niż wznoszą się do góry. Niema prawie tygodnia, by mu coś się nie urwało, albo nie pękła śruba, ot zwyczajnie, w podeszłym wieku cierpi człowiek na najrozmaitsze dolegliwości, które dają mu się we znaki. Gdy tak dalej pójdzie, Zeppelin, choć wybrał się do bieguna północnego, gotów odkryć południowy, on bowiem swoje, a balon swoje.

Co innego we Francyi! Tam aeroplany rozmaitego rodzaju szybują po powietrzu, niczem u nas kaczki dziennikarskie, Niemcy spoglądają tylko z przestrachem w górę, czy przypadkiem nie leci z powietrza na łeb bomba lub granat. Ciągłą tę trwogę podsycają głosy, że z lotnictwem trzeba sobie dać spokój, gdyż, jak doświadczenie niemieckie nauczyło, wyrzuca się pieniądze na darmo.

Patryoci oburzają się na głosy ogółu, niestety jednak, *vox populi* to przecież *vox Dei!*

Jedno tylko pociesza Niemców, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, a młode pokolenie wchodzi w ślady swych ojców i także gada. Przed kilku dniami księżniczka Wiktorya, nieodrodna córka swego taty, jako pułkownik huzarów wygłosiła w kasynie oficerskiem siarczysty toast na cześć jego cesarskiej mości, on zaś nie pozostał w tyle i znów pod jej adresem wzniósł gromkie: „hurra!", twierdząc zresztą i słusznie, że zbliżenie się płci pięknej do armii, może mieć dla kraju tylko dodatnie skutki.

Na domiar wszystkich kłopotów i zmartwień, dowiedzieli się Niemcy, że na wyścigach w Baden-Baden koń z polskiej stajni „Książe Pan", własność ks. Lubomirskiego wziął pierwszą nagrodę. Tego było im za dużo, kilku obywateli państwa bojaźni Bożej i dobych obyczajów popełniło samobójstwo, zapiwszy się piwem na śmierć, a kilka Niemek pękło ze złości, wszyscy bowiem wietrzą i w tem polską intrygę, zwłaszcza, że sprawozdawca sportowy jednego z pism lwowskich naigrywa się złośliwie ze Szwabów, twierdząc, że zwycięstwo owo jest wspaniałem zakończeniem uroczystości grunwaldzkiej! Ja przyznam się szczerze, w zdarzeniu tem takiego znów „narodowego" znaczenia jakoś ani rusz nie mogę się dopatrzyć, no, ale bo ja może jestem zaślepiony, czemu znów się tak bardzo dziwić nie można, gdyż człowiek codziennie musi oglądać tyle znakomitości krajowego wyrobu, od których aż bije jasność. Choćby człek nie chciał, musi sobie popsuć wzrok i powonienie.

A wszyscy ci dostojnicy powrócili już z wakacyjnych wywczasów i zabierają się do jesiennej kampanii politycznej, która rozpocznie się zwołaniem sejmów, między innymi i galicyjskiego. Za przykładem Rady państwa i on zapewne wejdzie we fazę kanałową, która da sposobność Rusinom do wylania swych uczuć, bo już dziś obie główne partye, tj. staroruska i ukraińska zgodziły się, że kanałów w Galicyi nie potrzeba. Wody mamy dość, nawet nasi wielcy ludzie za młodu mieli jej w głowach poddostatkiem, co i dziś jeszcze daje się spostrzegać i to nawet gołem okiem.

Na tapet wejdzie także i sprawa drożyzny, skończy się jednak, jak zwykle, na narzekaniu na ciężkie czasy i cichych westchnieniach w stronę Wiednia, który sobie jednak nic z tego nie robi, bo cóż go może obchodzić jakaś tam Galicya, która jest stworzoną na to, by płacić, nie powinna więc mieć żadnych pretensyi do brania. Co innego Wiedeń! Tam z każdem życzeniem obywateli liczą się nie na żarty. Zaledwie tylko podniosły się głosy, że mięso jest zanadto drogie, już czytamy w telegramach, że w dniu 10 września przybędzie do Tryestu okręt „Alice", który w swych chłodniach wiezie mięso argentyńskie dla uprzywilejowanych krajów monarchii. Agraryusze załamują ręce, ludowcy z panem Stapińskim na czele, nie mają na to czasu, przenoszą bowiem „Wisłę" do Lwowa, ale nie tę mokrą, jeno asekuracyjną.

Mięso to uwolnione ma być od cła, interesowani mogą je na miejscu oglądać. Wolno im nawet i skosztować, dla nas pozostało tylko oblizywanie się z daleka.

Austryacka biurokracya nie od razu zgodziła się jednak na przywóz tego mięsa, sprawa musiała najpierw przedestylować się w różnych biurach i ostatecznie postanowiono wysłać do Argentyny komisyę, która miała na miejscu zbadać tamtejsze urządzenia weterynaryjne i orzec, czy sprowadzone mięso nie zaszkodzi Wiedeńczykom. Równało się to pogrzebaniu sprawy, któż bowiem zaręczy, czy przypadkiem okręt z komisyą nie zatonie lub czcigodnych jej członków nie skonsumują jacy ludożercy? Choćby zresztą uniknęli tych nieszczęść, co najmniej rok musieliby się rozpatrywać w sytuacyi, po powrocie zaś do kraju przynajmniej przez dwa lata wygotowywać wyczerpujące sprawozdanie, a tymczasem narodek ginąłby z głodu. Chodziło głównie o to, że podobno w Argentynie nie przestrzega się zbyt skrupulatnie przepisów policyi weterynaryjnej, ale znawcy stosunków uspokoili opinię publiczną, że owszem stosowane są tam one z ogromną ścisłością, tem jednak Argentyna różni się od Austryi, że tam dużo się robi, a mało pisze, u nas zaś odwrotnie; pisze się całe tomy referatów, sprawozdań, protokółów, nie robi zaś nic, albo tylko bardzo mało. Ostatecznie, co jednak bardzo dziwne, zwyciężył zdrowy rozsądek. Za czyjąś tam radą postanowiono zasięgnąć wiadomość u ambasadora argentyńskiego we Wiedniu i austryackiego w Argentynie i przekonano się, że obaj coś o tem wiedzą, wobec czego komisya nie potrzebuje się narażać na niebezpieczeństwa.

Wiedeńczycy mają więc mięso, a my nie mamy ani mięsa, ani mleka, ani ziemniaków, ponieważ w Królestwie Polskiem wybuchła zaraza pyskowo-racicowa, a Wysoki Rząd zamknął skutkiem tego granicę dla dowozu artykułów spożywczych, bojąc się, by przypadkiem nie zawleczono jej do Galicyi wcześniej, niż ukaże się o tem obwieszczenie w części urzędowej „Gazety Lwowskiej".

Mięso drożeje stale, a panowie rzeźnicy tłomaczą się, że kierując się filantropią, podnoszą ceny tylko mięsa pierwszorzędnej jakości, pośledniejsze zaś gatunki pozostają, jak dawniej. Biedniejsza ludność nie jest więc wcale narażona na wyzysk, na drożyznę narzekać nie powinna. Jest to jednak tylko wykręt, gdyż po pierwsze. nasze biedniejsze sfery obchodzą się stale bez mięsa, ponieważ nie mają go za co kupić, po drugie, my właściwie mięsa pierwszorzędnej jakości nie widzimy nawet, idzie bowiem do Wiednia, gdzie daleko taniej kosztuje, niż u nas ochłapy, nazwane szumnie polędwicą, zrazówką, krzyżówką i tak dalej. Ostatecznie post wskazany jest ze względów hygieny i zyskania sobie królestwa niebieskiego, gorzej będzie, gdy podrożeje artykuł tak nieodzowny, jak mleko i ziemniaki. Niestety paragrafy, choć podobno dadzą się odwracać wedle upodobania, w Galicyi są nieubłagane i ani rusz nie chcą wywrócić koziołka.

Towarzysz Ignacy nie ujmuje się także za nami, obecnie bawi bowiem na kongresie socyalistycznym w Kopenhadze, wkrótce zaś podąży za metropolitą Szeptyckim do Ameryki, aby umocnić we wierze tamtejszych zwolenników, którzy mogliby wesprzeć fundusz agitacyjny i prasowy, podobno bardzo obecnie biedne. Ot, mizerya i to paskudna na każdym kroku. Daje się ona we znaki nie tylko biedakom, ale i bogatszym ludziom, klepią biedę instytucye, a nawet całe organizmy państwowe, jak to widzimy naprzykład na Turcyi, która rozpoczęła handel starymi okrętami, bo na nowe ją nie stać.

Pocieszamy się ciągle nadzieją, że przecież jakoś to będzie, a łaskawa Opatrzność zginąć nam na razie nie pozwoli i z wesołem sercem rozpoczynamy nowy rok szkolny, w którym młodzież nasza nauczy się strzelać i odczytywać mapy sztabu generalnego i jesienny sezon matchów footballowych, który zainaugurowała „Cracovia" generalną klapą, bo przegraną w stosunku 1 : 15. Powiadają jednak, że „pierwsze koty za płoty", „Cracovia" weźmie się energicznie do dzieła i powetuje doznaną klęskę, „Czas" nie miałby bowiem o czem pisać, a według niego przyszłość nasza zależy jedynie od ilości zdobytych na Błoniach bramek przez nasze sportowe drużyny.

X.

Cesarz rosyjski w Friedbergu.

Cesarz rosyjski Mikołaj II. bawi od kilku dni wraz z małżonką swą, cesarzową Aleksandrą, oraz dziećmi w miejscowości Friedberg, w Hessyi, w rodzinnym kraju cesarzowej, jak wiadomo, wielkiej księżniczki heskiej. Wyjazd w te okolice, położone bardzo korzystnie i odznaczające się doskonałem powietrzem, zalecili cesarzowej lekarze.



Cesarz rosyjski w Friedbergu: Ogólny widok zamku, w którym para cesarska zamieszkała.



Cesarz rosyjski w Friedbergu: Wnętrze komnaty sypialnej cesarzowej.

Jako goście panującego Wielkiego księcia Ernesta Ludwika, którego najmłodszą siostrą jest cesarzowa Aleksandra, zamieszkali cesarstwo w zamku w Friedbergu, skąd prześliczny roztacza się widok.

Z powodu przyjazdu pary cesarskiej, poczyniono w całej okolicy bardzo daleko idące przygotowania, zwłaszcza w kierunku bezpieczeństwa całego dworu. Z Friedbergu i pobliskiej miejscowości Nauheim wydaliła policya wiele osób, które wydawały się podejrzane. Wzmocniono też bardzo silnie straż bezpieczeństwa.

Cesarstwo zabawią w Friedbergu prawdopodobnie kilka tygodni.

Dwudziestopięciolecie „Sokoła" w Przemyślu.

Równocześnie z gniazdem krakowskiem, powstało w r. 1885 gniazdo sokole w Przemyślu, jako czwarte wogóle na ziemiach polskich. Po latach dwudziestu pięciu rozwinął się „Sokół" przemyski nadzwyczaj pięknie i należy do najruchliwszych gniazd w kraju.

Inicyatywę do założenia gniazda w Przemyślu poddał ś. p. Mieczysław Baranowski, ówczesny inspektor szkolny, na walnem zgromadzeniu towarzystwa pedagogicznego. Wybrana wówczas komisya organizacyjna, do której prócz wnioskodawcy należeli pp.: dr. Zych i M. Hlavaty, przy współpracownictwie kilku innych osób, a pod przewodnictwem ówczesnego burmistrza ś. p. dr. Dworskiego, ułożyła statut, poczem odbyło się pierwsze walne zgromadzenie. Prezesem wybrano dr. F. Cassinę, zastępcą insp. M. Baranowskiego, któremu nadto powierzono kierownictwo ćwiczeniami gimnastycznemi, odbywanemi w sali gimnastycznej jednej ze szkół ludowych. Ćwiczeniami młodzieży kierował profesor dr. Zych, dzisiejszy dyrektor gimnazyum w Buczaczu.

Rozwój „Sokoła" przemyskiego postępował szybko naprzód, odczuwano też bardzo dotkliwie brak własnego gmachu, w szczególności brak odpowiedniej sali do ćwiczeń. Zaraz też w drugim roku istnienia gniazda, rozpoczęto zbierać fundusze na budowę gmachu „Sokoła". Wzrastająca liczba członków pozwoliła już w trzecim roku po założeniu towarzystwa, stworzyć oddział uczenic, zaprowadzić naukę strzelania do tarczy i jazdy na bicyklu oraz powołać do życia chór męski.

Dalsze lata istnienia „Sokoła" zaznaczyły się wydatną pracą wewnętrzną, dążącą do uporządkowania gospodarki i pomnożenia funduszów. Dzięki usilnym staraniom, a przy poparciu burmistrza Dworskiego, uzyskano od rady miejskiej grunt przy ul. Długiej (obecnie ul. Dworskiego), pod budowę Sokolni.

Dalszy, bardzo szybki i piękny rozwój „Sokoła" datuje się od chwili objęcia przewodnictwa przez dzisiejszego prezesa dr. Leonarda Tarnawskiego, który nie szczędził własnych trudów, ni własnych funduszów, byle gniazdu przemyskiemu zapewnić silne podstawy. I wreszcie w r. 1895, głównie dzięki materyalnej pomocy prezesa dr. Tarnawskiego, stanął w Przemyślu piękny, wspaniały gmach, z dużą, doskonale wyposażoną w przyrządy gimnastyczne salą ćwiczeń.

Dzięki temu wzrosła znacznie liczba członków, a przedewszystkiem liczba ćwiczących, tak iż w r. 1896 musiano utworzyć grono nauczycielskie, które prowadził naprzód p. Sawicki, a od 1900 r. p. E. Złotnicki. Potworzyły się dalej w łonie towarzystwa oddziały kolarski, konny, szermierzy, miłośników sceny itd.

Sokół przemyski brał czynny udział we wszystkich zlotach ogólnych i okręgowych, zawsze z pokaźną liczbą uczestników. Przedewszystkiem zaś dążył zawsze do podniesienia ruchu narodowego w Przemyślu i w objawach tego ruchu stawał w pierwszym rzędzie.

Po 25 latach istnienia zdołało też gniazdo uporządkować zupełnie swe interesy materyalne. tak



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Dwudziestopięciolecie „Sokoła w Przemyślu: Sokolstwo w czasie mszy polowej na boisku; 1. prezes Związku dr. Fiszer; 2. prezes gniazda przemyskiego dr. L. Tarnawski.

że obecnie może spokojnie patrzeć w przyszłość. Mógł dzięki temu stworzyć w roku jubileuszowym obszerne i piękne boisko, położone przy ulicy Trzeciego Maja na Zasaniu. Odda ono niewątpliwie znaczne usługi sprawie fizycznego wychowania.

Jubileusz, który uroczyście święcono w ubiegłą niedzielę, przyniesie mu nowy zasób sił, potrzebnych do dalszego wewnętrznego rozwoju, do rozmaitych ulepszeń i powiększeń, do pozyskania nowych sił społecznych i przekształcenia się w duchu dzisiejszych pojęć o potrzebach narodowych.

Z 74 członków, którzy w pierwszym roku istnienia gniazda przystąpili do „Sokoła“, pozostało dotąd tylko 8, a to: Jan Dobrzański, burmistrz dr. Doliński, B. Doskowski, ks. T. Łękawski, W. Sawicki, J. Scheller, K. Sontak i prezes dr. L. Tarnawski.

Z okazyi jubileuszu odbył się w Przemyślu doraźny zlot okręgowy, połączony z poświęceniem nowego boiska na Zasaniu i odsłonięciem postawionego tam pomnika Kościuszki. Uroczystość wypadła bardzo pięknie i podniośle, mimo niepogody, która uczestnikom fatalnie dawała się we znaki. Rozpoczęto uroczystą mszą polową na boisku sokolem, które następnie ks. biskup Fiszer poświęcił i przy tej sposobności wygłosił piękne patryotyczne kazanie.

Po południu odbyły się na boisku ćwiczenia gimnastyczne, te same, które wykonano na ogólnym zlocie w Krakowie. Zakończeniem uroczystości był wieczór towarzyski w sali „Sokoła“.



Nowe stukoronówki: Nowy banknot austryacki na 100 koron.

Nowe stukoronówki.

W ubiegłym miesiącu puszczono w obieg nowe banknoty stukoronowe, zastosowane pod względem wyglądu zewnętrznego do banknotów 10 i 20 koronowych, ostatniej emisyi. Banknoty te spotkały się ogólnie z bardzo ujemnym sądem, istotnie bowiem pod względem artystycznym wykonanie ich pozostawia aż nadto wiele do życzenia. Pomijając dobór barw i nie zbyt szczęśliwe ich zestawienie, głowa i twarz niewiasty, zdobiącej obie strony banknotów, jest brzydka i o bardzo niesympatycznym wyrazie. Jako dzieło sztuki, rysunek zupełnie się autorowi, prof. Kolo Moserowi, nie udał. Ponadto w tekście węgierskim popełniono podobno błąd, wskutek czego Węgrzy domagają się nowego wydania tych banknotów, możliwe więc, że wobec ogólnego niezadowolenia i krytyki, zostaną one wogóle wycofane a na ich miejsce pojawią się banknoty ładniejsze.



Defraudant pocztowy: Władysław Bryk.

Mniejsza jednak o piękność tych banknotów. Niechaj będą i najbrzydsze, byle ich było jaknajwięcej.

Defraudant pocztowy.

Przed niedawnym czasem w urzędzie pocztowym w Rawie ruskiej popełnił ekspedyent pocztowy, 19-letni Władysław Bryk, defraudacyę kwoty 20.500



Fot M. Todt, Przemyśl.

Dwudziestopięciolecie „Sokoła“ w Przemyślu: Oddział konny „Sokoła“ w Przemyślu.

koron, którą wyjął z nadesłanych tam listów pieniężnych. Pomysłowy młodzieniec wyjechał natychmiast do Lwowa, gdzie ma rodziców, tu zaopatrzył się w cudzy paszport i uciekł w świat. Władze pocztowe i policyjne wysłały za nim prawie zaraz telegramy gończe, ale bez skutku. Bryk wyjechał do Londynu, zabawił tu bardzo krótko i udał się w dalszą podróż, a mianowicie był w Paryżu, Brukseli, Antwerpii, zawitał też do Karlsbadu, wreszcie przybył do Krakowa. I tu też niedługo zabawił. Widocznie tęsknota ciągnęła go bodaj na kilka dni do Lwowa, bo podobno kochał się w pewnej lwowiance. Potem zamierzał wyjechać do Szwajcaryi i dalej za morze.

We Lwowie mieszkał w domu rodziców; policya dowiedziała się o tem i w czasie, gdy Bryk zmęczony podróżą spał smacznie, aresztowano go. Miał przy sobie jeszcze 18.800 koron, resztę wydał na podróż. Wobec tego, że Bryk przyznał się do kradzieży, śledztwo sądowe będzie rychło ukończone, a Bryk wnet stanie przed trybunałem przysięgłych.

Sprawa „Sillonu“.

(Do illustracyi na str. 13).

Dużą wrzawę wywołała obecnie we Francyi sprawa „Sillonu“, katolickiej organizacyi demokratycznej, przeciw której wystąpił w osobnem piśmie papież Pius X, „Sillon“, jest to tytuł miesięcznika literackiego francuskiego, organu demokratycznej młodzieży katolickiej; nazwa ta odpowiada naszej „Niwie“. Pismo to zakupiła przed mniej więcej 15 laty grupa młodzieży katolickiej pod przewodnictwem Marka Sangiera i zamieniła je w pismo katolicko-demokratyczne. Około wydawnictwa tego skupiła się dość liczna grupa młodzieży oraz osób starszych, tak że po pewnym czasie stał się „Sillon“ organem nowego, szybko rozwijającego się stronnictwa politycznego.

Stronnictwo było ruchliwe. Kongresy, zgromadzenia publiczne, dysputy podejmowane na zebraniach i w prasie, zwracały coraz częściej uwagę szerokich sfer na rozrastającą się organizacyę, która też przystąpiła do wydawnictwa tygodnika „Eveil Democratique“, a ostatnio nawet założyła własny dziennik, zatytułowany „Démocratie“.

Owóż organizacya ta, którą poprzedni papież Leon XIII. pochwalał i popierał, spotkała się obecnie z potępieniem ze strony papieża Piusa X. i wskutek tego podobno przestała wogóle istnieć. Wywołało to wielkie rozżalenie w sferach konserwatywnych, które liczyły na „Sillon“, jako na przodownika w walce politycznej ze stronnictwami skrajnemi. To też konserwatywno-republikański „Le Temps“ w tonie rozdrażnionym poddaje krytyce pismo papieskie do biskupów francuskich w sprawie „Sillonu“ i przypomina zupełnie odmienne stanowisko Leona XIII. w tej sprawie.



Nowy szpieg: Józef Szabla Pochowski z Pochowa.

Zauważyć przytem należy, że zmiana stanowiska Watykanu wobec stronnictwa katolicko-społecznego, którego organem był „Sillon“, została spowodowana demagogią tegoż stronnictwa i wywieszaniem sztandaru katolicyzmu w każdej sprawie. Zdanie Watykanu zaś, niewątpliwie słuszne, jest takie, iż jeśli jakaś organizacya chce być naprawdę katolicką, to musi pójść pod komendę biskupów i Kościoła, a jeżeli jest organizacyą polityczną, złożoną jedynie z katolików, to etykietą katolicką nie powinna rzucać podejrzenia, że każdy, kto należy do innego stronnictwa, nie jest katolikiem. Tego żądał Watykan odnośnie do „Sillonu“ i tak należało rozumieć pismo papieskie w tej sprawie.

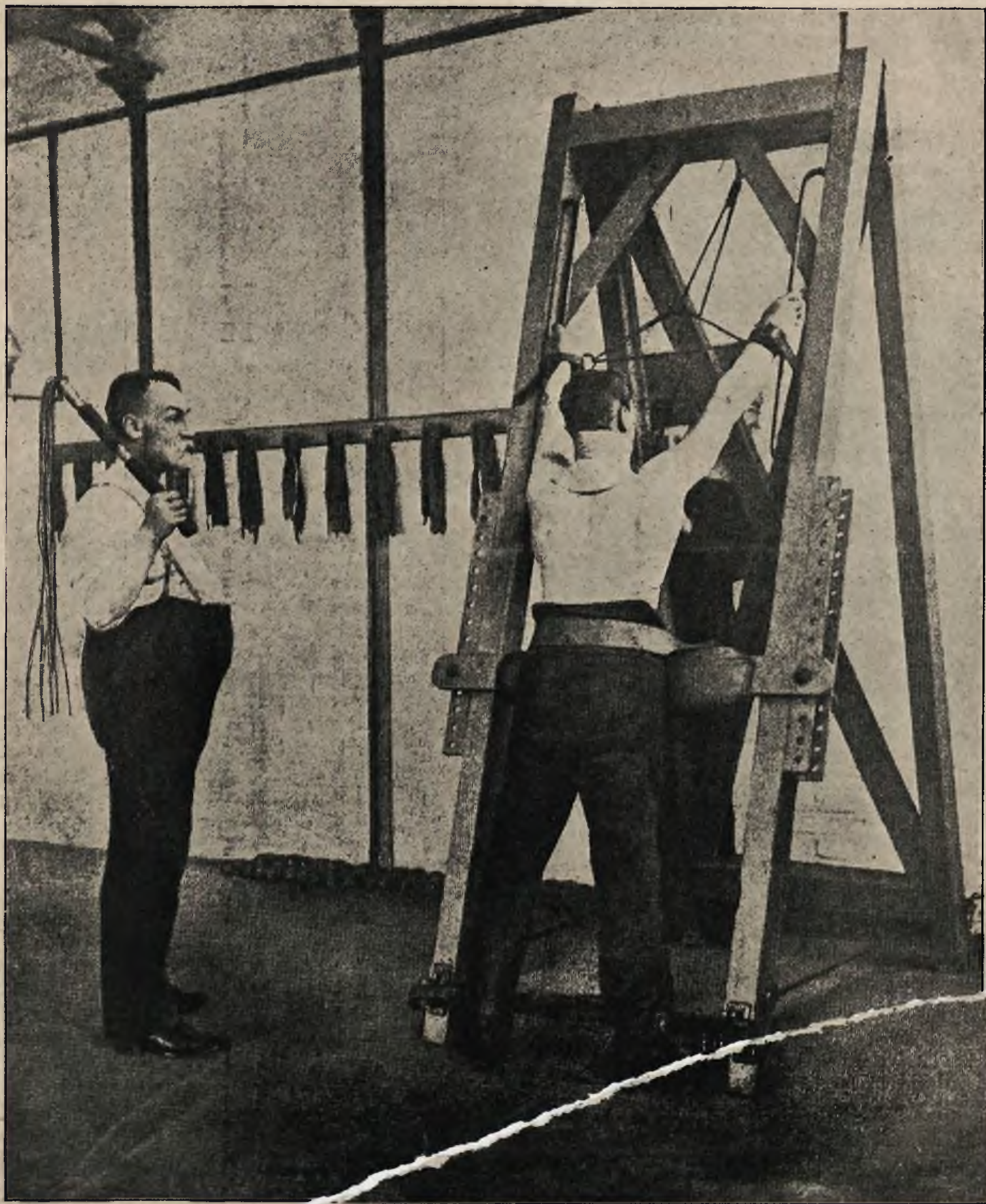
Z pod znaku Marsa.

Według zdania polityków światowych, tylko zupełna gotowość bojowa wszystkich państw jest zapewnieniem pokoju. Dlatego też wszystkie nawet najmniejsze państewka lwią część swego budżetu przeznaczają na ciągłe zbrojenia i rujnują się materyalnie, aby tylko zaopatrzyć się w najnowsze wynalazki na polu techniki wojennej. Pomysłowość zaś w tym kierunku, jest niewyczerpana, niema prawie dnia, by, nie pojawił się jakiś nowy wynalazek, prześcigający wszystkie dotychczas znane.

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej przekonano się o wielkiem znaczeniu granatów ręcznych, które zarzucono od czasu wprowadzenia ulepszonych armat. Przypomniano sobie z przed stu lat grenadyerów, kwiat ówczesnego wojska i rozpoczęto stosować dawne praktyki, naturalne odpowiednio ulepszone.

Obecnie fabryka Kruppa w Essen skonstruowała pięciocentimetrową armatę, służącą do wyrzucania bomb, mających zastąpić dawniejsze ręczne granaty. Ma ona zastosowanie w walce z nieprzyjacielem, znajdującym się w ukryciu, do którego dojść trudno, ani też dosięgnąć go nie można ogniem karabinowym lub działowym. Używa się jej na stosunkowo niewielką odległość, donośność strzału wynosi najwyżej trzysta metrów. Z tego powodu wykonanie musi być nadzwyczaj precyzyjne, pocisk pada w ściśle oznaczonem miejscu, by przypadkiem nie narazić na niebezpieczeństwo własnej armii, idącej do ataku. Różnica pomiędzy dawnemi armatami a nowo skonstruowaną, polega na tem, że pocisk wypełniony wielką ilością materyi wybuchowej, znajduje się na zewnątrz lufy armatniej, na pewne-

Dwudziestopięciolecie „Sokoła“ w Przemyślu: Publiczność słuchająca mszy polowej na boisku; w głębi odsłonięty właśnie pomnik Kościuszki.



Ko[illegible] o dziewięciu ogonach: Kara chłosty w więzieniu angielskiem.

go rodzaju ta[illegible]erzu, zakończonym rękojeścią, którą umiesz[illegible] się w lufie. Siła prochu wyrzuca pocisk w[illegible]raz z podstawą, która skutkiem ciężaru swego opada niedaleko działa na ziemię, bomba leci zaś dalej i w odpowiednim przeciągu czasu eksploduje, rozsypując odłamki żelaza w kilkudziesięciometrowym promieniu. Nie pomoże więc nieprzyjacielowi krycie się w rowach i podkopach, dokąd nie dosięgają kule armatnie ani karabinowe. Przy tej sposobności wytwarza się także bardzo wiele zabójczych gazów.

Ujemną stroną nowego wynalazku jest ogromny ciężar pocisku i skombinowana manipulacya przy nabijaniu, które pozwalają zaledwie raz wystrzelić w czasie, jakiego atakujące wojsko potrzebuje na przebycie trzystu metrów, celem zajęcia nieprzyjacielskiej pozycyi.

Nowy szpieg.

Do więzienia lwowskiego sądu karnego sprowadzono w tych dniach jeszcze jednego szpiega. Jest nim Józef Szabla Pochowski z Pochowa, urzędnik gospodarczy, aresztowany w Barszczowicach, niedaleko Lwowa. Pochowski jest agronomem o studyach akademickich, włada językami polskim, ruskim, niemieckim, rosyjskim, francuskim, angielskim, hiszpańskim, włoskim i tureckim. Z Poznania przyjechał do Krakowa, następnie przez pewien czas bawił we Lwowie, wreszcie otrzymał posadę pisarza w zarządzie dóbr w Kamienopolu. W ostatnich czasach starał się o koncesyę na biuro pośrednictwa w Przemyślu.

Wystawne życie Pochowskiego, który pobierał 30 koron miesięcznej płacy, zwróciło uwagę żandarmeryi, zwłaszcza że wyjeżdżał często do Rosyi, a kilka razy był w Kijowie, skąd otrzymywał liczną korespondencyę i zasiłki pieniężne, adresowane do Prus, pod Lwowem.

Żandarmerya, nabrawszy przekonania o jego winie, aresztowała go. Przy rewizyi znaleziono kompromitującą korespondencyę i szkice nowobudującej się linii kolejowej Lwów-Kamionka Strumiłowa, oraz zdjęcia terenów z okolicy Lwowa. Pochowski podał, że jest synem właściciela dóbr w Poznańskiem i był oficerem pruskiego pułku dragonów, ale zozdegradowany.

Kot o dziewięciu ogonach.

W walce z apaszami, którzy tak dali się Paryżowi we znaki, chwyta się sprawiedliwość ostatecznego środka, chce wprowadzić mianowicie karę chłosty cielesnej.

Ustawy angielskie przewidują zastosowanie kary cielesnej w razie kradzieży, dokonanej przy pomocy gwałtu publicznego. Przed laty trzydziestu był Londyn jednem z najmniej bezpiecznych miast w Europie, na wybrzeżach Tamizy grasowali apasze, którzy zalepiali przechodniom twarz plastrem smołowym, a potem ich obrabowywali. „Kot dziewięcioogonowy“ okazał się w tym wypadku pierwszorzędnem lekarstwem.

Jest to rodzaj dyscypliny, zrobionej z grubego sznura okrętowego. Rozdziela on się na dziewięć pasem, opatrzonych w węzły. Skazanego przywiązuje się do słupa, poczem najsilniejszy ze strażników więziennych uderza go w plecy. Po czterech do pięciu uderzeniach, odstępuje dyscyplinę następnemu i tak zmieniają się, póki kara nie jest skończoną. Opryszek dostaje zwykle 25 do 30 uderzeń. Bardzo rzadko zdarza się, aby nie zachował na całe życie blizn na plecach. Przy egzekucyi asystuje lekarz, aby interweniować w razie omdlenia skazańca; czasem rozkłada się egzekucyę na dwa dni.

„Kot“ oczyścił Londyn z apaszów w ciągu ośmnastu miesięcy. Od lat trzydziestu napady nocne stały się taką rzadkością, że dziś jest już prawie niepotrzebny. Powraca się doń jednak natychmiast, ilekroć tylko zachodzi tego potrzeba.

Wybryki apaszów paryskich doszły do tego stopnia, że prasa poważna zaczyna się na seryo zastanawiać, czy nie należałoby i we Francyi wprowadzić angielskich zwyczajów co do zakazu sprzedaży broni palnej i „Kota o dziewięciu ogonach“.

Dzięki zupełnie swobodnej sprzedaży broni, mnożą się z każdym dniem zamachy rewolwerowe na ulicach Paryża, sprzedaż tę należy więc ograniczyć, a biorąc przykład z Londynu wprowadzić jak najrychlej karę cielesną. „Kot“, będzie dla apasza skuteczniejszym niż więzienie lub nawet obawa kary śmierci.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 35.

Dobre rozwiązania nadesłali: H. Balicki Sambor, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Sawicka Krosno, W. Ostrowski Warszawa, J. Łopatkiewicz Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Zakopane, T. Gruszecki Zakopane, J. Osada Przemyśl, K. Radoszewski Rzeszów, M. Nowojska Jasło, H. Gryziecka Przemyśl, C. Wang Rozwadów, H Engelberg Rzeszów, M. Lichańska Bochnia, J. Wakas Kołomyja, H. Wojtyczko Sambor, H. Wójcik Radomyśl, W. Ostrowski Sandomierz, M. Więckowska Sosnowiec, J, Pick Warszawa, J. Kalinowski Płock, J. Cichocki Kraków, S. Walulski Czerniowce, T. Nikiel Biała, F. Horak Oświęcim, J. Wyka Rzeszów, H. Zachara Sanok, M. Rogożińska Tarnopol, J Wałęga Brody, J. Sydoryak Sambor, J. Ohrenstein Lwów, J Beck Przemyśl, H. Kozłowski Kalisz, J. Nowacki Rzeszów, M. Przeworska Oświęcim, J. Jahoda Cieszyn, M. Poślępska Cieszyn, J. Kamiński Morawska Ostrawa, R. Baum Kraków, J. Klappolz Rzeszów, H. Wurm Podgórze, M. Krawecka Sambor, J. Miller Kraków S. Krzyżanowski Podgórze. K. Wojciechowski Podgórze, J. Hołowiecki Kołomyja, Z. Ogibiński Krosno, T. Błoński Sanok, H. Piątek Podwołoczyska, M. Świrska Rozwadów, J Kwaśniewski Radomyśl, H. Bandrowski Suwałki, W. Thun Płock, J Stolzman Skierniewice, S. Zenowicz Warszawa, J. Bodziński Tarnopol, W. Piotrowski Kołomyja, H. Obst Łódź, J. Janik Wiedeń, S. Iglicki Janów, J. Żak Kraków, S. Karwowski Kraków, S. Sokulski Radom, K. Brummer Zaleszczyki, J. Lindenbaum Lwów, Z. Gramski Warszawa, J. Pieprzak Sanok, H. Branstätter Jasło, M. Lemiszewska Stanisławów, J. Czarkowski Kraków, M. Serbeńska Budzanów, K. Turecka Tarnopol, M. Sulima Skawina, K Fuchs Czeremchów, S. Faliszewski Baligród, M. Malinowska Oświęcim, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków, H. Zegartowska Łososina górna, J. Jaworski Kraków, A. Rotter Stanisławów, Wł. i Janina Czeppé Tarnobrzeg, J. [illegible] Rożdzień, J. Fingerer Stryj.

Szarada: Kiełbasa.

Łamigłówka:

Cel
zez
udo
lew
ewa
maj
nie
sól
ton
ryk
raz
ale
nóż

Łamigłówka: Jad, ale, Nil, mara, arena, tur, era, jar, kos, opał.

Logogryf:

M a z u r
S t y k a
W ę g l e
R o m e o
S t u ł a
M a n n a
K a t o n
B a k o n
B o r e k
S z a f a
M a s ł o
M n i c h
M a ń k a
W i s ł a
F a k t y
D r i m a

Zadanie do przestawienia: Na to kowal ma kleszcze aby go w ręce nie parzyło.

Szarada: Kalwarya.

Rebus: Przez usta dziecinne anioł niekiedy przemawia.

Nagrodę przez losowanie ptrzymał p. **A. Rotter Stanisławów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

24

— Jak pan chce — odpowiedział obojętnie Panajon.

— Może pan już odejść.

— Dziękuję.

Złodziej, siedząc w fotelu z oczami utkwionemi w sufit, ani nie poruszył się. Rozmyślał.

Jakie ma być teraz jego zachowanie?

„Mogę oznajmić mu wprost — myślał — iż nie mam zamiaru go słuchać i samemu zacząć nim dyrygować. Tak postanowiłem z początku... Mogę jednak poczekać jeszcze trochę. Ta skończona kanalia stoi już jedną nogą w zbrodni... A jeżelibym dopuścił, by stanął i drugą?... Widać, że ma szczery zamiar popełnić jeden z tych małych grzeszków, które prowadzą wprost do Gujany... Zamiar jednak nic nie stanowi... Grunt to robota... Czy nie lepiej uczyniłbym, gdybym pozwolił mu przejść z teoryi do praktyki?

— Pan może już odejść — powtórzył Maksym Duret.

„Gdy będzie wisiało nad nim skazanie na dożywotnie więzienie, jak również i nad jego zacną siostrzenicą, panią baronową — rozmyślał dalej Panajon — wtedy będę ich miał u swych nóg. Najdosłowniej u swych nóg. Nie tylko oddadzą mi swój majątek, lecz jeszcze ofiarują mi rękę panny Kamilli“.

Filantrop wstał. Panajon siedział. Kończył rozmowę z swemi myślami.

„A więc niech tak będzie! — zdecydował się. — Niech się do reszty skompromitują. Nie chcę jednak, by ta nieszczęśliwa zostawiła swą skórę w ich rękach! Ja się tem zajmę i machinacyami jego pokieruję należycie... Nie dopuszczę go do morderstwa... W inny jeszcze sposób może się dostać na ławę oskarżonych“...

Gdy Duret, nie wiedząc co myśleć o tej nieruchomości i milczeniu Panajona, otwierał już usta, by go o to zapytać, złodziej dał mu znak, by usiadł i sam wreszcie przemówił.

— Pan jest bardzo sprytny — rzekł.

— Jestem zajęty... Pan mi pozwoli...

— Tak, bardzo sprytny — powtórzył Panajon. — Pański plan jest wspaniale ułożony... Można dać dziewięćdziesiąt dziewięć na sto, że się powiedzie panu. Gdy Karol Turner zniknie ze swą przyjaciółką, rozejdzie się ma się rozumieć pogłoska, że to panna Ludwika Dubois dała mu w ten sposób dowody swej przystępności... Piotr Cartelegue i Juliusz Maixent zaniepokoją się i pobiegną do pralni przy ulicy Laugier. Tam się dowiedzą, że jakiś wielki, wysoki służący odniósł koszyk od bielizny i oznajmił, że panna uciekła... Opis powierzchowności tego służącego pozwoli domyśleć się, że był on w służbie u milionera australskiego.

— Zupełnie zbytecznie... — zaczął Duret.

— Pozwoli mi pan skończyć — przerwał Panajon. — Przekona się pan, czy ja wszystko dobrze zrozumiałem i czy przeto swą rolę należycie potrafię odegrać.

Filantrop poddał się temu żądaniu. Nie chcąc stać przed Panajonem, usiadł w swym fotelu.

Złodziej mówił dalej:

— Panowie ci, prowadząc swe śledztwo, udadzą się do mnie, lub też przyślą jakiego ajenta... Stróżka potwierdzi im, że ja istotnie wyjechałem z praczką... Tak, tak, to bardzo sprytnie... Wspaniale pan to wszystko obmyślił. Jakiż niezrówna ny z pana prestidigator! Tylko...

Panajon przerwał i pokiwał głową, marszcząc w komiczny sposób swój nos.

— Tylko co? — zapytał nagle zaniepokojony Duret.

Wiedział o inteligencyi Panajona i obawiał się, czy złodziej nie dostrzegł w jego planie jakiego słabego punktu. Rozmawiał z nim nie szczerze, lecz nie pochodziło to z nieufności. Był o tem przeświadczony, iż złodziej, gdy usłyszy połowę, reszty sam się domyśli łatwo.

Nie chciał, by Panajonowi zdawało się, iż rozmawia z nim o wszystkiem otwarcie. Nie pozwalał na to dumny charakter filantropa. Ten złodziejski wspólnik winien być tylko narzędziem w jego rękach, a nie powiernikiem. Duret nie przestraszył się tego, iż zamiary jego odgadł Panajon, lecz zaniepokoił się, widząc grymas złodzieja.

— Cóż pan tu dostrzegł?... — zapytał.

— Zaraz!... Czy w pańskie ręce ma przejść panna Ludwika Dubois?

— Jakto w moje ręce?

— Jeżeli pan woli, to w ręce tego pana Duponta... Ten Dupont i czcigodny Duret są razem tą osobą, która wynajęła mieszkanie przy ulicy Ternes pod numerem 44... Jutro między czwartą a piątą była nauczycielka panny Kamilli wejdzie do pana i... tam zniknie... W jaki sposób odbędzie się to zniknięcie?...

— Co panu zależy na tej wiadomości? — zapytał Duret.

— Bardzo wiele mi na tem zależy, drogi przyjacielu... Znam całe masy historyi o ludziach krajanych, usypianych, palonych... I operacya rzadko kiedy kończyła się dobrze dla operatora... Jeżeli i w pańskim planie leży podobna operacya, to trzeba mi to powiedzieć.

— Będzie to nie w tym rodzaju...

— Boję się niestety, że właśnie w tym... I oto co mnie niepokoi... Nie wątpię o pańskiej zręczności, mój przyjacielu... Lecz nawet Robertowi Houdinowi nie udały się kilka razy podobne eksperymenty... A jeżeli panu się nie powiedzie, to co ze mną się stanie jako z pańskim wspólnikiem?... Jestem bowiem na tyle słaby i małoduszny, iż mi chodzi o mą skórę!

— Lecz ja panu mówię... — odezwał się Duret.

Złodziej przerwał mu zaraz i wstał z fotelu.

— Och, mój drogi, nie mnie głowę zawracać! Wiem bardzo dobrze, że jesteś zdolny do wszystkiego! Urodziłeś się na dowódcę podpalaczy!...

Maksym Duret wstał również. Wyprostował się, by zachować swą pozorną obojętność. Po raz pierwszy dopiero Panajon ośmielił się tykać go i mówić mu podobne rzeczy. Filantrop był do gruntu tem oburzony.

— Tak, mój ojczulku! — mówił dalej złodziej, klepiąc poufale po ramieniu nędznika, który bezwiednie cofnął się o krok w tył. — Postaramy się załatwić to wszystko inaczej... Twój pomysł jest zdumiewający... Wyznaję to szczerzę... Należy go jednak trochę zmodyfikować... Morderstwo odarłoby go z całego uroku. Zamienię je z powodzeniem na sekwestracyę... Nie ucierpi na tem nic moja głowa, ani też twoja, mój czcigodny staruszku...

Maksym Duret musiał się z konieczności poddać tonowi, jakiego używał teraz złodziej. Robiąc minę, jak gdyby nie słyszał wcale tych obrażających go słów, odparł, zachowując swój wyniosły i dumny wyraz twarzy:

— Sekwestracyę?...

— Tak, mój drogi... Działanie zostaw mnie... Ja ci wszystko urządzę tak, iż ty, znawca wszelkiego rodzaju przestępstw, nie będziesz mógł wyjść z podziwu... Żądam tylko osiemnastu godzin czasu... Czekaj na mnie jutro ze śniadaniem... Wszystko już będzie gotowe i cały plan ci wytłómaczę... a danego dnia, w oznaczonej porze panna Ludwika Dubois zniknie z widnokręgu, lecz pozostanie przytem cała i nienaruszona... Cały świat zaś będzie sądził, iż ona właśnie podróżuje ze mną po południowej Europie... Ale a propos!

Panajon poklepał znowu po ramieniu Maksyma Dureta.

— Podziwiałem przed chwilą dokładność, z jakąś ty obmyślił wszystkie najdrobniejsze szczegóły swego planu... Jest jednak jeden, na któryś nie zwrócił wcale uwagi. Tę młodą praczkę, która, nie wiedząc o tem, ma odgrywać rolę panny Dubois, widziała już stróżka ze swego mieszkania... Nie bardzo ona jej się przypatrywała... Nie przyglądała się ani kształtowi jej nosa ani kolorowi oczu... Gdyby ją o nią zapytano, odpowiedziałaby zapewne w ten sposób: „Jest to młoda, mniej więcej dwudziestoletnia panna, brunetka“. Czy słuchasz mnie dobrze?

Panajon znajdował prawdziwą przyjemność powtarzać Duretowi napomnienia o uważnem słuchaniu, które poprzednio robił mu filantrop.

— Lecz — ciągnął dalej — gdy ta kumoszka usłyszy strzelanie korków od szampana, który pokrzepi nas przed podróżą [illegible] potem ujrzy nas, jak w podróżnych toaletach siadamy do samochodu, za którym będzie stał omnibus, naładowany naszymi kuframi, to czyż nie sądzisz, że będzie ona pożerała oczami tę praczkę, którą uwozi jej bogaty lokator? Dlatego też, gdy Ewa stanie się przyjaciółką Karola Turnera, nie będzie mogła wychodzić inaczej, jak tylko z gęstą woalką na twarzy i z podniesionym do góry kołnierzem od futra... W przeciwnym bowiem razie kumoszka ta mogłaby się rozwodzić przed Cartelegu'em i Maixentem nad cudownemi, czarnemi oczami i różowymi policzkami tej młodej osoby... A skutek tego mógłby być opłakany...

— Ma pan racyę — przyznał obojętnie filantrop.

Przed kilku minutami Panajon rzekł do siebie.

„Ten Duret to istotnie niepospolity opryszek. Nie łatwo będzie z nim załatwić się! Trzeba mieć się na baczności!“

Teraz Duret rozmyślał:

„Ależ ten Panajon jest istotnie niezwykle zdolny... Trudno dać sobie z nim radę... Teraz nie robi sobie wcale ze mną ceremonii. Zachowuje się przy mnie zupełnie ordynarnie...“

Nikczemny ten jednak filantrop zbyt był zarozumiały, by wątpić o swem powodzeniu.

„Ech! — dodał. — Będę go jeszcze znosił jak złego psa, który kąsa, lecz bez którego nie można się obejść... Za kilka jednak dni przekona się on, czy wiele będę zadawał sobie trudu, by załatwić z nim ostateczny rachunek...“

Złodziej, zadowolony z uznania Dureta, mówił dalej:

— Och, ja znam swój zawód, lecz i tobie, mój stary wyjadaczu, nie wiele brakuje... Można szukać po wszystkich więzieniach całej Francyi i jeszcze nie znajdzie się równego tobie...

Filantrop ani nie drgnął.

— A więc do jutra, do południa! — dodał Panajon. — A przygotuj czek!

Nie wyciągnął ręki do Dureta. Wiedział, że ten jej nie przyjmie. Klapnął go za to dość silnie w brzuch. Potem wyszedł zaraz. W chwilę jednak potem znowu odemknęły się drzwi i wyjrzała z nich głowa złodzieja.

— A pamiętaj, przyjacielu, że liczę na dobre śniadanie! Nie chciej się wykręcić sucharami i wodą. Będziemy mieli czas do ich spożywania, gdy sprawy przyjmą zły obrót!

Potem głowa zniknęła. Panajon odszedł tym razem rzeczywiście.

Baronowa przeszła z salonu do gabinetu. Była wybladą. Siedząc przy niedomkniętych drzwiach, słuchała całej rozmowy.

— Och! — rzekła głuchym głosem. — Jak ten

człowiek odzywa się do ciebie! Uważa się za naszego pana!

Maksym Duret wzruszył ramionami.

— Za naszego pana? — rzekł, siadając na swem miejscu przy biurku. Biedny on jest! Jest to pan, którego się wcale nie lękam.

— A jednak...

— Już ci mówiłem ze dwadzieścia razy, że co do niego, to możemy być spokojni...

— Na razie jednak musisz mu wydawać co raz znaczniejsze sumy...

— Nic nie szkodzi! Odbiję to sobie potem... Obmyśliłem sobie już małą operacyę, której koszta poniesie właśnie Panajon... Odzyskam swe pieniądze, a zarazem pozbędę się tego wyzyskiwacza...

— A czy jesteś tego pewny? — szepnęła baronowa.

— Najzupełniej!

— Dzięki Bogu! Wierzę w ciebie... Zawsze masz opatrznościowe pomysły.

— Och, tylko bez komplementów! — roześmiał się Maksym Duret.

Spostrzegłszy nagle bladość swej siostrzenicy, dodał zaraz:

— Musisz wypić czego, by się opanować... może kieliszek wina hiszpańskiego?

Wprost drzwi do salonu znajdowały się drugie drzwi, wiodące do jadalnego pokoju. Skierował się do nich i otworzył je.

— Ach! — zawołał.

Wchodząc, potrącił o czyjeś ciało, leżące na dywanie.

— Moja córka!... — zawołała baronowa.

Kamilla de Lagunan blada, z przymkniętemi oczami, leżała przy drzwiach bez ruchu.

XVI.

Gdy baron uczuł, że mu głowę kręcą na wszystkie strony i w oczach ujrzał nagle miliardy gwiazdek, pomyślał, że już spotyka go ostateczny koniec.

„Umieram... i tak nędzną śmiercią...“

Taką była ostatnia jego myśl. To jednak, co uważał za śmierć, było tylko prostem omdleniem. Po kilkuminutowem leżeniu w błocie Raul de Lagunan poruszył się i otworzył zwolna oczy. Potem uniósł się z trudnością i rozejrzał w koło. Był sam. Jednym wysiłkiem zerwał się na nogi, lecz zaraz się zachwiał. Doszedł pomału do ławki, na której poprzednio siedziała praczka i opadł na nią bezsilnie. Przy świetle latarni gazowej ujrzał z lewej strony na swej piersi coś w rodzaju woreczka jedwabnego. Prawie jednocześnie dojrzał podobne woreczki różnych wielkości, a wszystkie jedwabne, dokoła siebie na ubraniu. Dotknął się ich rękami i domyślił się wszystkiego.

Woreczki te nie były niczem innem, jak tylko kieszeniami, które złoczyńcy przy ograbianiu go wywrócili na lewą stronę i tak pozostawili.

— Och! — westchnął klubowiec z ulgą. Jeszcze nie tak drogo się opłaciłem, jak mi się zda...

Przerwał. Naraz ciemności nocne zaczął przebijać ciągle zbliżający się z szumem jakiś blask. Był to przejeżdżający samochód! Miał już mijać barona.

Pan de Lagunau podniósł się i opierając się jedną ręką o poręcz ławki, drugą zaczął dawać rozpaczne znaki, a jednocześnie wołać słabym głosem:

— Stój! Do mnie!

Samochód zatrzymał się i jednocześnie wyskoczył z niego jakiś jegomość, który szybko podszedł do wołającego.

Baron poznał Maurycego de Terrade.

— Co pan tu robi? — zdziwił się inżynier. — Co panu się stało?

— Ach! drogi przyjacielu! — jęczał baron. — Jakaś zaraza padła na samochody! Przed chwilą oporządził mnie tak jakiś samochód o sile co najmniej pięćdziesięciu koni!

— Ach, mój Boże! — użalił się Maurycy. — Ciężko jest pan raniony?...

— Nie... Nie zdaje mi się...

— Lecz co to jest?

Inżynier wskazał palcem na te jedwabne woreczki, wiszące przy ubraniu rannego.

Baron zapomniał zupełnie o przewróconych kieszeniach.

— Sapristi! — zaklął. — To wszystko ten samochód sprawił.

I śpiesznie zaczął chować do ubrania kompromitujące woreczki.

Maurycy nie rzekł nic więcej. Widać było z tego, że ten wypadek z samochodem był w gruncie rzeczy napadem, połączonym z grabieżą. Raul de Lagunan miał widocznie powody, jeżeli starał się przedstawić to inaczej. Musiała tu zajść jakaś miłosna awanturka, która się źle skończyła.

— Niech mi pan poda rękę — poprosił baron.

Maurycy spełnił prośbę i obaj mężczyźni, jeden podtrzymując drugiego, doszli do samochodu.

— Odwiozę pana na ulicę Ampere — rzekł inżynier, podsadzając swego towarzysza.

— Lepiej do Dureta, jesteśmy niedaleko od jego mieszkania. Muszę jak najprędzej przyłożyć sobie na kark kompres.

Samochód ruszył.

— Jechałem właśnie do państwa — zaczął znowu inżynier.

— Tak!? I wyratował mnie pan po drodze! Co za dziwny zbieg okoliczności!

— Mogę założyć się, że pan nie domyśla się celu mojej wizyty... — ciągnął dalej Maurycy.

Mógł założyć się z wszelką pewnością, gdyż baron nie odznaczał się domyślnością.

— Umyślnie dla tej wizyty włożyłem na siebie anglez i cylinder... — dodał inżynier.

Po wyjściu od Juliana Maixenta wrócił do siebie do Neuilly, gdzie zajmował małą willę koło fabryki Cartelegue'a. Tam się przebrał.

— Do licha! — odezwał się Raul de Laguuan, coraz bardziej zaintrygowany. — Dzisiaj przecież nie jest dzień przyjęć mej żony... Z jakiej więc racyi ten ceremonialny strój?

— Z racyi prośby, z jaką ośmielam się zwrócić do pana.

— Pan chce mnie o co prosić?

— O rękę pańskiej córki...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

LOGOGRYF.

Ułożyli K. Kaim Kraków i S. Kowalówka, Kraków.

Środkowe litery odpowiednio wynalezionych wyrazów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego poety oraz tytuł jego dzieła.



Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w hiszpańskiej prowincyi Owiedo. 2. Część ubioru kapłana. 3. Imię żeńskie. 4. Utwór Słowackiego. 5. Utwór Kowerskiej. 6. Rzeka w Galicyi. 7. Polski powieściopisarz. 8. Znany tłuszcz. 9. Zwierzę ssące. 10. Zasłony. 11. Ptak. 12. Imię żeńskie. 13. Miasto w Niemczech. 14. Pieniądz. 15. Ogień sztuczny. 16. Wieś koło Nowego Targu. 17. Imię żeńskie. 18. Przyrząd do przenoszenia głosu na odległość. 19. Ulica w Krakowie.

ZAGADKA.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Z trzech literek się wywodzę
Ludziom zawsze staję w drodze,
Zwą mnie koniecznością,
Że jest wolność, mówić śmiecie?
Nikt przezemnie się na świecie
Nie cieszy wolnością!

Mam ja jednak lepszą stronę;
Bywam w wodzie, lecz nie tonę,
Ale mknę do syta,
A łacińskie mam nazwisko
Rozwiązanie będzie blizko,
Kto mnie wspak przeczyta.

SZARADA.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze na mapie Włoch zobaczycie,
Pierwsze wraz z trzecim roku podziałem,
Całość, to klęski, pod ich nawałem
Mienie tracimy, często i życie.
Całość... i duszę ludzką wyniszcza,
Pod jej palącem, zabójczem tchnieniem
Z serc młodocianych zostają zgliszcza,
Wiarę, młodości truje zwątpieniem!
Wcześnie opali młodzieńcze skrzydła,
Zwieje sny szczęścia, rojeń mamidła!
W duszy zostawi pustkę grobową
Straszne to... smutne szarady słowo!

ARYTMOGRAF KWADRATOWY.

Ułożył W. L. Kraków.

Cyfry zastąpione odpowiednio literami utworzą szereg wyrazów równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym.

1	2	3	4	1
2	5	6	7	8
3	6	9	6	7
4	7	6	10	8
1	8	7	8	9

Znaczenie wyrazów: 1. Aktor. 2. Utwór muzyczny. 3. Miara długości. 4. Imię żeńskie. 5. Waga kamieni szlachetnych.

ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożyła H. Zegartowska, Bogucice.

Z każdego z podanych wyrazów, nie zmieniając porządku, wyjąć po dwie obok siebie stojące litery, z ostatniego zaś jedną. Otrzymamy to, o czem obecnie mówi każdy uczeń.

Epoka, kaczka, piątek, ekran, karo, kusy, Oszmiana, Rakowice, balneologia, Regulice, sago.

REBUS.





Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *H. Piątkowskiego:* **Mistrz Kłębek,** powieść.

Lalki Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI** w Krakowie. Ulica Grodzka L. 2

Kołnierz stojący K. 1·27
Kołnierz stojący wykładany K. 1·75

Bez prania — zawsze czyste

Mankiety para 2·50 K.

kołnierze i mankiety

Nowym sposobem inpregnowane zwykłe kołnierze i mankiety posiadają tę zaletę, że nie potrzeba ich prać i prasować, wystarcza zmyć mokrą gąbką i zaraz użyć.—Oszczędność na praniu i trwałości. — Zawsze czyste. — Niezbędne w podróży.

Wyłączne zastępstwo na Kraków

A. Skórczewski i Polakiewicz Kraków Floryańska 13

TRADE MARK — GRAMOFON

GRAMOFON TOW. AKCYJNEGO LONDYN.

LWÓW Sykstuska 2, Tel. 2033/II. — Jeneralny zastępca dla Galicyi, Bukowiny i Śląska **JÓZEF WEKSLER** — KRAKÓW Grodzka 71. Telefon 641.

poleca swój bogato wyposażony skład **prawdziwych gramofonów** i płyt z piszącym aniołkiem. — Dlaczego **prawdziwy gramofon z piszącym aniołkiem** wszędzie jest lubiany mimo, że istnieje wiele naśladownictw pod różnemi mianami

Bo oryg. Gramofon z piszącym aniołkiem trwa wiecznie i nigdy się nie psuje,
Bo publiczność kupiwszy raz bezwartościowy aparat, nabywa później oryg. Gramofon, jako jedynie doskonały w swoim rodzaju i poleca go dalej znajomym,
Bo oryg. Gramofon z piszącym aniołkiem gra bez szmeru, wyraźnie i przyjemnie,
Bo oryg. Gramofon z piszącym aniołkiem gra zapomocą igły i bez igły,
Bo prawdziwe płyty z piszącym aniołkiem mają zdjęcia we wszystkich językach i w największym wyborze pierwszorzędnych artystów w świecie,
Bo prawdziwe płyty z piszącym aniołkiem nie charczą i można na nich i 1000 razy grać.

Aparat koncertowy i 10 płyt kosztuje kor. 60·—,
Naprawy i przeróbki z patefonów na **gramofony** we własnym warsztacie policza się jak najtaniej.

—o **Katalogi wysyłam darmo i opłatnie.** o—

Aptekarza Thierry'ego **BALSAM**

— prawnie ochroniony, —

Prawdziwy tylko z zakonnicą jako **marką ochronną.** Niezawodny środek przeciw wszelkim chorobom jakoto: przy cierpieniach narządów oddechowych, kaszlu, zaflegmieniu, chrypce, katarze krtani, chorobie płuc, kurczach żołądkowych i wszelkich innych chorobach żołądkowych, wszelkich zapaleniach wewnętrzn., braku apetytu, złem trawieniu, zatwardzeniu itd. Zewnętrznie przeciw chorrbom jamy ustnej, bolu zębów, oparzelnom, rwaniu w członkach, wyrzutom, specyalnie przeciw influenzie etc. 12 małych lub 6 dużych podw. flaszeczek albo 1 wielka specyalna flaszka do podróży K 5·—

Apt. A. Thierry'ego jedynie prawdz.
Maść centyfoliowa
o nadspodziew. i niedoścignionem działaniu leczniczem przy przestarzał., także rakowatych ranacp, wrzodach, skaleczen., zapaleniach, ...się nog, czyrakach, oddziela obce ciala, substancey i zapobiega w większych wypadkach bolesnym opera... puszki Kor. 3·60. —Adresować: **Apteka pod „Aniołem ...żem“ A. Thierry'ego w Pregrada obok Rohitsch.**

ICH DIEN — Mein echter Balsam ... Thierry in Pregrada

Sanatoryum i Zakład Wodoleczniczy
spec. chor. nerwowych
Dra KUPCZYKA
Kraków, ulica Szujskiego 11.

Półtora miljona Koron

płacimy co roku obcym fabrykantom za liche bibułki cygaretowe. Każą nam palić bibułki przeźroczyste, łudząc tem, że są cienkie a więc dobre. To nieprawda! Tylko bibułka nieprzeźroczysta, bez sztucznej a szkodliwej zaprawy, może być w paleniu smaczną.

Wszystkim palącym kręcone papierosy, polecam najnowszy mój wyrób **Bibułek cygaretowych:**

POBUDKA.

Bibułka moja nie jest sztucznie zaprawianą więc niechaj nikt nie zraża się tem, że nie jest przeźroczystą. — W paleniu za to — jest bardzo przyjemną, a dym posiada chłodny i niegryzący.

POBUDKA w opakow. patentowem **6** hal.
„ w opasce . . . . **4** „

Żądajcie próbek, które chętnie darmo i opłatnie wysyłam.

Fabryka tutek i bibułek cygaretowych
Mr. W. Bełdowski
KRAKÓW, STAROWIŚLNA 26.

—o **W trafikach odrzucajcie obce wyroby a żądajcie naszych.** o—

Na **BIUST** krem „Amorlin“ Dra Lassinga, zupełnie wypróbowany i uznany środek do osiągnięcia pełnego i pięknego biustu. Trwały, pewny skutek. „Amorlin“ jest kilkakrotnie premiowany, ponadto przeglądnąć można u nas bardzo wiele pism uznania. — Za nieszkodliwość „Amorlinu“ gwarantujemy. Do używania ...wnętrznie, i w każdym wieku. Cena słoika ze sposobem użycia K 4·—. Podw. słoik z przynależnym do tego ...em mydła, wystarczający do osiągnięcia skutku ... Wysyłka dyskretna, za zaliczką lub w markach. ... zagraniczne uskuteczniamy tylko za przysłaniem kwoty oraz 60 hal. za porto pocztowe.

J. Frisch, Wien VIII. Tigergasse 38/V.

SZKOŁA INŻYNIERYI
Frankenhausen n. Kyffh (Niemcy)
...maszyn, elektrotechnika, maszyny gospodarskie, budowa mostów, wielkie zakłady próbne
TECHNIKA LOTNICTWA

„BRIKETTID“-LICHT
GESELLSCHAFT M.B.H. WIEN VI.

Na wystawę w domach mieszkalnych jest z powodu bezpieczeństwa rządowo pozwolone!

Dla oświetlenia zakładów wszelkiego rodzaju od 1 do 30 płomieni najmilszego i najodpowiedniejszego systemu.

Prospekta darmo.
Telefon 4236.
Telegramy:
Brikettid Wiedeń.

Wyłączna sprzedaż: **w Krakowie:** Władysław Jankowski, ul. Szewska 27. Telefon 1164.
we Lwowie: M. Hackel, Pasaż Mikolasza.

Szczotki do włosów i sukien

szczoteczki do zębów, paznokci i czyszczenia grzebieni, jak również **grzebienie** rzadkie, gęste do rozdzielania i rozczesywania, rogowe, kauczukowe, celulojdowe, z kości słoniowej i szyldkretowe — poleca: 2

Stefan Porębski, Rynek 32. B-C, Kraków.

Ja wiem,

że najlepiej kupuje się płótna i wszelkie wyroby bawełniane tylko **w tkalni**
Braci Krejcar
w Dobruschka 9202 Czechy.

Wzory najpiękniejszych barchanów i flaneli, jakoteż płócienne i bawełniane wysyłamy darmo i opłacone. Proszę spróbować i zamówić 6 blichowanych prześcieradeł bez szwu w wielkości 150 cm. szer. 200 cm. dług. za Kor. **13·60.**
Wyprawy ślubne.

Do Ameryki i Kanady
przeprawia najlepiej
Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.
Odjazd z portu **w Tryeście: Carpathia:** d. 13 września 1910
Pannonia: d. 27 września 1910, **Ultonia:** d. 11 października 1910.
Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 17|9, 8|10, 5|11, 17|12 1910.
Maurytania: dnia 10|9, 1|10, 29|10, 19|11, 10|12 1910.

Pierwszorzędna Pracownia **SUKIEN MĘSKICH**
Leona Grabowskiego
właściciel firmy: **Gabryel Grabowski**

Materyały i krój angielski — Wykończenie artystyczne.

w Krakowie. ulica Szpitalna L. 36. — Telefon Nr. 561.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie